

C2

BOGUSŁAW SCHAEFFER

LARGO

sztuka w 23 scenach

1997

Ze wszystkich przejawów życia na świecie najbardziej interesuje mnie sztuka. Przede wszystkim muzyka, teatr, a potem – powieść. Kiedy zamówiono u mnie sztukę, pomyślałem sobie, że barwnym, choć trudnym zadaniem byłoby napisanie sztuki o pisarstwie, które jakkolwiek jest literaturą, stoi na antypodach tekstów teatralnych. Wbrew różnym praktykom uważam, że powieść nie nadaje się na scenę, ale pokazać na scenie pisarza – to co innego. Biografie pisarzy są jednak nudne, są to na ogół opowieści o kolejnych książkach, o podejmowanych i odrzucanych tematach, o szukaniu materiału i o męce tworzenia i skreślania. A ja chciałem, by mój bohater był – jako się rzekło – barwny, pełen antynomii i niepokojów, a przede wszystkim tajemniczy. Dlatego dołożyłem do niego – obok dwu ni to muz, ni to redaktorek – szydlerczego i przewrotnego Mefista. Gdzie diabeł MOŻE...

B.S.

Kraków ☆ Augsburg ☆ Bydgoszcz ☆ Salzburg

OSOBY

ON

ANNA (też: ANIOL)

EWA

MEFISTO

SCENA I

– *desolato (beztrosko)* –

(w oświetlonej słabo lewej części sceny widoczny jest zarys siedzącego przy telefonie człowieka, który jest młody, co widać po ruchach, gdy, co jakiś czas wstaje, wychodzi, wraca, szuka czegoś w szufladzie, przeciąga się dyskretnie i wypija kawę.)

(telefon)

ON Tak. Słucham. Jestem przy telefonie. /-/ Co, nie poznałeś mnie po głosie? A wczoraj chwaliłeś się, że po głosie i po chrzäkaniu poznajesz każdego. Co teraz robisz? /-/ A, telefonujesz. /-/ Co ja teraz robię? Wiesz, właśnie jakiś kretyń zadzwonił do mnie i pyta, co robię. /-/ Dobrze, dowiem się. Tak, na pewno. Na mnie możesz liczyć. Cześć. *(odkłada słuchawkę)* Akurat.

(światło nieco silniejsze, widać twarz młodego człowieka, je przypuszczalnie suchą – bułkę)

(znów telefon)

ON *(odbiera telefon)* Tak, dowiem się; po co dzwonicz? /-/ Chwileczkę, z kim pan się chciał połączyć? /-/ Z centralą? Tu nie ma centrali. Tu jest zwykły, pojedynczy telefon kawiarni, która jest otwarta, nie wiem po co, od dziewiątej do, również nie wiem po co, dziesiątej. Słucham? /-/ Do dziesiątej wieczór, oczywiście. Do usłyszenia. /-/ Tak, do dziewiątej wieczór. /-/ Tak, od dziewiątej rano. /-/ Nie, nie od dziesiątej, od dziewiątej. *(głośniejsze)* Od dziewiątej. *(z hukiem odkłada słuchawkę)*

(tymczasem po prawej stronie sceny – stolik, dwa wygodne krzesła, wysoka, stojąca intymna lampa – pojawia się ANNA. Jest bardzo dobrze ubrana, wypielegnowana, nawet swobodna w ruchach, ale spokojna, od razu widać, że jest bogata i dobrze wychowana)

ANNA (cicho, „w powietrze”) Poproszę małą kawę. (przegląda jakieś pismo, ma czas; kiedy zjawia się kawa, mówi: „Dziękuję”, ale zupełnie nie zwraca uwagi na NIEGO, jest zamyślona, zaafektowana swoimi myślami, szuka czegoś w torebce, wyjmując jakiś list, odkłada go, znów zamyślona, mechanicznie pije łyk kawy. Zamyślona, nawet nie wie, że rozmawia na odległość, że nie zna twarzy kelnera)

czy-
muje

ANNA Jak pani sądzi, czy w tej dzielnicy miasta jest coś do oglądania? Jakies muzeum, przynajmniej galeria obrazów... Wie pani, w galerii obrazów czuję się głupio. Mam wrażenie, że malarzowi – choćby był najlepszy chodzi tylko o to, by sprzedać swój obraz. Tylko na tym mu zależy.

(po lewej stronie jakiś huk, jakby coś spadło)

ON (wysokim, niemal kobiecym głosem) Kurna! Po co oni to tu trzymają! Stale spada, a przymocować nie można, bo nie ma jak.

ANNA (niby zaciekawiona) Czy coś się stało?

ON (ze swojego miejsca) Przepraszam. Już podniosłem. Nic takiego, stale zahaczam o drut, więc spada. (spokojnie) Jak smakuje kawa? Wymyśliłem własną recepturę, dodaję do niej odrobinę anyżku. Nie każdy lubi anyżek, ale kawę chwala wszyscy. (cisza) Tylko że nikt tu nie zagląda. A otwarta jest cały dzień.

ANNA Tak, wiem. Od dziewiątej do dziesiątej wieczór. ON Pani też tu pracowała? W lepszych niż te czasach dodawałem do kawy odrobinę badianu.

ANNA (zamyślona) To pan mi podał tę kawę? Byłam pewna, że podała mi ją wysoka kelnerka.

ON Tu nie ma wysokiej kelnerki. A ja jestem raczej średniego wzrostu.

ANNA (z niecierpliwością) Muszę już iść.

4 niski.
pp
wplywamy 1 &
highs!!!

(po chwili)

ON Zapraszam na kawę z badianem. *(krzyczy za ANNA)* Jak **jego** w sklepie dostanem! *(cicho, do siebie)* Nawet nie popatrzyła na mnie. Nie wiem, kto mi mówił o tym badianie. Gdzie to mogło być, na jakim przyjęciu? Ale mnie na przyjęcia nie wpuszczają. Pan-żeś niewystarczająco dobrze ubrany – powiedział mi ostatnio jakiś chmyz. Badian, badian. *(zagląda do książki)* Nie ma badianu, jest badia – określenie arabskie, oznacza zamek na pustyni... Jak może wyglądać taki zamek na pustyni? I z czego jest zrobiony, z piasku? *(po chwili)* Niece! To nie jest najgorszy słownik. Jest badian! *(czyta mozolnie)* Illicium verum, wiecz-nie zie *(sprawnie)* wiecznie zielone drzewo magnoliowate, uprawiane w Chinach głównie dla owoców mających zastosowanie w przemyśle spożywczym, na przykład do wyrobu wódek. Alkohol! Wszystko jasne...

(telefon)

ON *(odbiera telefon)* Nie, to nie jest centrala. To jest wytwórnia badianu. /-/ Nie wie pan, co to badian? Do jakiej pan szkoły chodził? Pewnie do wyższej szkoły nauk politycznych! Jak można nie wiedzieć tak elementarnych rzeczy! /-/ Nie na chemii, durniu, na lekcjach botaniki, na których pan zasypiał, albo Bóg wie, co robił. Radzę panu z całego serca, istnieją kursy wieczorowe, niech się pan zapisze na kurs botaniki albo na sinologię. /-/ Jak to? Nie wie pan, co to jest sinologia? Sinologia to nauka o kulturze, historii i o języku Chin. /-/ Nie wiem, skąd mogę wiedzieć... Mówi się Chiny, ale jest termin sinologia. Tak się mówi. Ja tego nie wymyśliłem, niech pan się czepi tych, co wymyślili. /-/ W życiu nie ma logiki. Ale są faceci, którzy zamiast dzwonić do ulubionej centrali, dzwonią do producenta badianu! *(odkłada słuchawkę)* Chiny. Chine. Jak dostano w dupe bedo sine. Może to stąd? S-ine, sinologia...

(telefon)

ON Nie odbieram.

(telefon)

ON Tak, słucham, centrala. Pan Świętokradzki, pokój 118, tak, mogę pana z nim połączyć, ale on już tu nie pracuje. Zostawił wiadomość, że idzie się powiesić, w parku Badiana; to był wybitny profesor botaniki, referenci głównie tam załatwiają swoje ostateczne sprawy, niech pan leci, on jest strasznie powolny, może pan zdąży. *(odkłada słuchawkę)* Powolny, ale nazwisko ma dobre. Bardzo polskie.

SCENA II

– *cappricioso (kapryśnie)* –

(ciemność, muzyka – mazurek; słychać odgłosy jakiejś kłótni)

ON (głos z daleka, w ciemności) Nie, nie może pan tu wejść, to jest wejście prywatne. (szamotanina) No! Słuchaj bydlaku, nie możesz tu wejść przed dziewiątą, bo kawiarnia jeszcze nieczynna. Tu jeszcze nikt poza personelem nie wszedł przed dziewiątą, rozumiesz, pajacu jeden. Nikt! Nawet minister, nawet straż pożarna... (lekka szamotanina) Nawet... (słychać, że kelner tłucze czymś delikwenta) Nawet straż pożarna, nawet narzeczona, gdybym miał takową, też bym suki nie wpuścił, a co... /-/ Dobrze, dobrze, mogę mówić spokojnie. (szamotanina i jakieś – mówione głosem kelnera – wyjaśnienia delikwenta; głośno:) Co, wczoraj pan tu był i zostawił ważne papiery. Co pan opowiada, wczoraj nie było tu nikogo, to znaczy była wszystkiego jedna osoba (wchodząc w jasność, marynarka i krawat w nieładzie) nawet mi się spodobała, chociaż nie raczyła nawet na mnie spojrzeć.

(telefon)

ON Znów – kto mówi... A, to pani. Zostawiła pani na krześle szal. Chiński jedwab, powiada pani. A, widzę faktycznie, leży na krześle. Chwileczkę, dobrze, ale sprawdzimy najpierw kolor. (podchodzi do krzesła, podnosi kawał brudnej szmaty, wraca do telefonu) Tak, jest coś takiego. /-/ Mówi pani, że to bardzo drogi szal... (podnosi szmatę nieco w górę) Myślę, że teraz już nie. Wczoraj przyszło tu pod wieczór trzech bandziorów, jeden z nich stale łypał oczyma i strasznie się

wiercił, dobrze, niech będzie, lypał oczami. Właśnie trzymam w ręku efekt jego niepokoju. /-/ Pani szal chyba dużo stracił na wartości. Ale mogę go przeprać. /-/ Pewno, że jestem miły. Wszyscy mi to mówią Proszę wpaść tu jutro, szal i kawa z anyżkiem będą na panią z niecierpliwością czekały. (odkłada słuchawkę) Jeśli przepiorem te szmate, wytworna pani otrzyma swój szal w stanie antykwarycznym. Nie, zaryzykuję i kupię jej jakikolwiek szal w podobnym kolorze. Jeśli powie, że to nie ten, nawiąże się rozmowa, wtedy może na mnie popatrzeć, a dalej to już moja w tym głowa, żeby przestała myśleć o szalu.

(telefon)

ON Tak. Słucham. Nie, to nie jest Uniwersytecki Instytut Sino-logiczny, pomylił pan numer. /-/ Nie, mój numer ma dwa zera pośrodku. Tak! Nie: sześć – sześć, tylko dwa zera, jak klozet, łatwo zapamiętać. /-/ Mnie również.

(odkłada słuchawkę)

Went.
(Panu)

Pytano Pana? Mnie również.

SCENA III

– *serio (poważnie)* –

(jakby inna sceneria, nieco ponura)

(wchodzi Ewa, w płaszczu, z mokrym parasolem i walizką)

EWA Dzień dobry! *(cicho)* Dzień dobry. *(do siebie)* Gdzie tam dobry... deszcz, plucha, taksówki gdzieś pochowane, w końcu znalazłam jedną, nie wiedział biedak, gdzie jest Hotel Bristol, więc zawiózł mnie tu, bo to podobno jest jedyna kawiarnia otwarta o wczesnej porze, to znaczy od dziewiątej. *(po chwili)* Hallo! Poproszę kawę, nie, proszę o herbatę, o gorącą herbatę; najpierw gorącą herbatę! *(wyjmuje książkę, czyta spokojnie kilka linijek tekstu i mówi do siebie)* Przy takiej pogodzie nawet najbardziej pogodny autor musi się wydać ponury... A podobno są ludzie, którzy lubią deszcz... Naturalnie za oknem, nie za kołnierzem. *(jakby do publiczności)* To bardzo inteligentny autor, widać, że ogromnie czytany. Ale to nie jest zaleta. Im bardziej czytany, tym mniej twórczy, jest to niemal równanie matematyczne. *(podczas tej wypowiedzi Ewa otrzymuje podaną z tyłu herbatę, nie mówi dziękuję, lecz:)* O, jest herbata. Z małym ciasteczkiem! Pewno taka słabość kawiarni do pierwszych klientów, przeżyłam coś takiego w Edynburgu. Boże! Jak ja to powiedziałam. *(prze-drzeźnia wypowiedziane przed chwilą zdanie)* Przeżyłam coś takiego w Edynburgu! To wpływ literatury... Jeśli się coś kocha, jest się pod przemożnym wpływem. W miłości człowiek znika, przestaje być sobą. A ja kocham literaturę...

ON *(z odległości)* Kocha pani zmyślenie, albo – no te, fikcje, wymysły autora, który zamiast przyjrzeć się dobrze życiu, produkuje takie spłodzone z fantazji przygłupawe historie.

EWA (*nie zastanawiając się, do kogo mówi, nie widząc też rozmówcy*) Nie zgadzam się z panem. W powieściach, bo o nich mowa, znajdzie pan wiele rzeczy prawdziwych, których, obserwując życie w sposób prymitywny, nie zobaczy pan nigdy. (*poważnie*) Wie pan zapewne, że powieść powstała w Anglii, a Anglicy są rzeczowi. To oni pokazali światu, że na przykładzie choćby wycinka życia można pokazać różne jego aspekty. Defoe, Richardson, Fielding, Sterne poruszyli zeschnięty grunt literatury i stworzyli model współczesnej powieści, gdyby nie oni...

ON Rozumiem, że jest pani tak zwaną anglomanką, ale mnie to nie przeszkadza. Jestem gorliwym czytelnikiem Balzaka i Dostojewskiego. /-/ Przepraszam, że nie podchodzę do pani, ale muszę tu zrobić porządek. Praca w kawiarni, do której nie mam przekonania, do której jednak zostałem przez twarde życie zmuszony, zaczyna się od uporządkowania bałaganu, który powstaje jakby bez naszego udziału. Rzuci pani torbę na fotel, mokry parasol do zlewozmywaka, a buty na łóżko i już jest pani autorką pięknego bałaganu.

EWA Wie pan, nie lubię tego słowa. Bałagan! Brzmi tak prostacko. Mówi się nieporządek, albo jeszcze piękniej: nieład. Tak, nieład – to jest właściwe określenie.

ON (*wchodzi z zakasnymi rękawami i mocno podkasnymi spodniami na środek sceny, teraz widoczny dla Ewy, odrażająco brudny, w rękach wiadro z wystającą moką szmatą, a pod pachą zwój tektur, z którego wypadają pomięte opakowania i brudne gazety; mruży efektownie oczy*) A czy na słowo smród ma pani też jakieś piękne zastępcze określenie? Na przykład smrodek. Może woń. Albo: fetorek.

EWA (*lustrując przeciwnika*) Czy wie pan; że jeszcze nie tak dawno, wiem to od mego dziadka, który wyrażał się arcystarannie, określenie smród oznaczało nie tylko odrażający zapach, ale i miłego chłopca, którym i pan był zapewne w swoim czasie. Mówiono na przykład: Czego znów chce ten smród, mając na myśli smarkacza. A ten – smarkacz – wywodzi się od zawsze dla oka niemiłej wydzieliny z nosa. (*on*

- chce coś powiedzieć*) Uderzający przy tym jest fakt, że oba te preferowane przez pana określenia – smród i smarkacz – odnoszą się tylko do chłopców! I co pan na to? *(zadowolona z siebie)* Ze mną jeszcze nikt nie wygrał. *(śmieje się)* No, niechże się pan rozchmurzy! Dziś mężczyźni mają rację jeszcze tylko w krajach arabskich... *(chwila wymownej ciszy)* Wie pan, dlaczego wyjątkowo z panem rozmawiam? Bo albo jest pan do kogoś bardzo podobny, albo pana kiedyś poznałam.
- ON Mój ojciec był znanym adwokatem. Zmarł kilka miesięcy temu. Coś mi się wydaje, że to on załatwiał pani sprawy rozwodowe. *(nadchodzi z tacą, niemy gest usługiwania)*
- EWA A skąd pan wie, że w moim życiu istniały w ogóle jakieś sprawy rozwodowe?
- ON Wie pani, to się wyczuwa. Z twarzy delikwenta, przepraszam, z każdej twarzy można wyczytać wszystko. Myśli – nie zawsze, bo istnieją takie egzemplarze, które tylko myślą, że myślą, ale przeszłość – z całą oczywistością. Na przykład pani. Pani jest osobą w istocie rzeczy zmaltratowaną podróżą życia, osobą biedną...
- EWA *(przerywa mu)* O, tu pan się myli. *(po chwili)* Ha! Nie jestem biedna. W oczach innych, a zapewne i pana, gdyby pan mnie znał lepiej, jestem osobą bogatą, można by rzec: majątną, jeśli już o to panu chodzi, osobą finansowo niezależną. O, widzi pan: płacę panu za herbatę i śniadanie grubym, banknotem, którego pan zapewne już dawno nie widział, sądząc po pana obecnej kondycji.
- ON Należy się... O Boże, nie ma pani drobniejszych, przecież ja nie jestem w stanie wydać pani reszty. Bank jest daleko, a oni bardzo niechętnie wymieniają takie grube banknoty, poza tym nie mogę zostawić kawiarni na pastwę chętnych do rabunku intruzów.
- EWA Widzi pan. Okazuje się, że to pan jest biedny, nie ja. *(wstaje)* Zostawiam panu ten banknot, proszę się nie obawiać, jest prawdziwy, a resztę odbiorę przy sposobności.
- ON A będzie taka sposobność? Zapamięta pani tę kawiarnię? Proszę zapytać o „byłą kawiarnię literacką”, nie wiem, jacy

literaci tu zachodzili, bo tu w naszym mieście przeważa
czwartorzęd. Podobno prym wodził tu lokalny dadaista. On
bardzo chętnie mlamlał tutaj swoje dadaistyczne apopemp-
tikony, jeden nawet zostawił na ścianie, z nudów nauczyłem
się tego niby-wiersza. *(recytuje)* blambu malambu juja kon-
statuja *(z zapalem)* o hemu-memu! tawo lawo duja, rembro
tyćano leonardo guja...

EWA *(wychodząc)* Do zobaczenia!

ON Do zocza buja koham szloham inde, mandę probendę
malambu a brinde... *(za odchodzącą)* Przyjdź tu! Musisz tu
wrócić! I wrócisz, choćby z tęsknoty za mną; *(po chwili)*
choćby po resztę!

(ściemnia się, muzyka)

SCENA IV

– *con sensibilita* –

(ciemność; muzyka – powolna, abstrakcyjna, ale liryczna; słychać z taśmy śpiew: głos kobiety, długa fraza, do niej łączy śpiew mężczyzny – na żywo, to ON, po jakimś czasie śpiewają w duecie, po którym pozostaje tylko głos mężczyzny: „w samotności, gdy nie ma gości, śpiewam sobie bez radości i bez tchu, bo samiutki, jestem tuuu...”)

ON Co robi mężczyzna, gdy czuje się samotny? Bierze za słuchawkę i łączy się z przyjacielem, który nie jest jego przyjacielem; jest świnią i – jeśli można prorokować, a można – świnią pozostanie. Może naturalnie zadzwonić do rodziny, by opowiedzieć jej, że dobrze się czuje, że praca mu odpowiada, że poznał ostatnio mnóstwo interesujących ludzi, a także słynących z okrucieństwa bandziorów, i że unika spotkań z kobietami, bo z tego tylko same kłopoty. Ale – chwileczkę! – może zadzwonić do przychylnego mu profesora, który jest na emeryturze i bardzo interesuje się, co też z jego wychowankami się stało. On też lubi słyszeć takie przyjemne wieści, złe wieści odbierają mu apetyt, nawet na zupę grochową ze skwarkami, którą darzy wyjątkowym uwielbieniem.

(telefon)

ON (odbierając telefon) Tak, słucham... Nieee, to pan profesor! Właśnie o panu myślałem. Naprawdę! Jak pan zdobył mój telefon? Przypadkowo, powiada pan. /-/ To prawda, bywają takie przypadki. Kiedyś wyrzucam śmieci, bo trudno je zbyt długo trzymać przy zlewozmywaku, patrzę, a tu list do mnie,

Uwaga! Odbiór
konala
kome podura
knektel!

17 L-115? spr.
✓ ber radości

w brudnej kopercie, ale pisany ładnym pismem. Co prawda list zaczynał się od zwrotu: Ty bydlaku – i nie był dla mnie zbyt miły, ale mnie zafascynował sam przypadek: wyrzucam śmieci i znajduję list adresowany do mnie! /-/ Tak pan sądzi, panie profesorze? Może ma pan rację. Darem intuicji wy-czułem, że list nie zawiera miłych rzeczy i sam go kiedyś wyrzuciłem /-/ Tak, to możliwe, tym bardziej, że ci od śmieci odwiedzają naszą ulicę niezmiennie rzadko i jakby w obawie, że większa część śmieci będzie zalegała grubymi warstwami wokół śmietników, co przysparza załodze śmieciarki dodatkowej, mało apetycznej pracy. /-/ Taak? Pan profesor też porobił podobne obserwacje? /-/ Aha, rozumiem, musi pan zaprowadzać wnuczkę do szkoły. W takim razie żegnam pana, panie profesorze, i pozwolę sobie wkrótce do pana zadzwonić. Wiem, że mimo różnicy wieku mamy sobie wiele do powiedzenia. Dzisiaj zatrzymaliśmy się przy śmietniku, to znaczy – poprawniej mówiąc – przy problemie śmietnika. Obiecuję panu, drogi panie profesorze, że następna rozmowa będzie miała wyższy poziom. Wyższe niveau; tak, wiem, że pan szczególnie lubi to słowo. Dziękuję serdecznie, do usłyszenia!

(tej rozmowie przysłuchuje się – już od dłuższego czasu ANNA, która weszła niepostrzeżenie, usiadła – swoim zwyczajem – z książką przy stoliku i bez niepokoju czeka na wciąż odwołany koniec rozmowy; ON pod koniec rozmowy zauważa ANNE, kłania się, uśmiecha się do niej, daje znaki, że już kończy rozmowę)

ANNA Musi pan bardzo lubić swojego profesora. Przysłuchiwa-łam się fragmentowi waszej rozmowy, to znaczy pana części waszej rozmowy, i co prawda, temat jej nie zachwycił mnie, ale wyjątkowo ujął mnie pana takt w rozmowie. I pana uprzejmość. Z byłymi profesorami nikt dziś nie rozmawia, ma się tylko do nich zadawnione, a trwałe pretensje. Rozgadałam się, a przyszłam tylko po szal. Właściwie, kiedy się zastanowię, widzę, że nie przyszłam po szal, ale też nie wiem, dlaczego się tu zjawiłam.

ON Po prostu: przypadkowo. Właśnie rozmawialiśmy z profesorem o zadziwiającym fenomenie przypadku, który pozwala kochającemu się rodzeństwu spotkać się po latach w domu starców, a idiotcie wygrać na loterii olbrzymią sumę pieniędzy.

ANNA A mnie się zdawało, że rozprawialiście panowie o pracy przy śmieciarce i o podobnie prozaicznych problemach. No, mniejsza o to. Szal.

ON Szal, tak, właśnie: szal. Przeprałem starannie pani szal, ale efekt tego prania okazał się niezadowolający. Pozwoliłem sobie – za ostatnie pieniądze – kupić pani nowy, piękny szal. Oto on. *(podchodzi w stronę wieszaka)* Nie, to niemożliwe! Tu go powiesiłem, delikatnie – i przyłożyłem moim kapeluszem, kapelusz jest, a szal znikł. A musi pani wiedzieć, że był to bardzo drogi szal. *(zrozpaczony)* I jak ja teraz wyglądam... Widzi pani, *(szlocha)* w życiu niczego nie da się przywrócić, naprawić, jestem niepokieszony! *(placze; usiadł na krześle i płacze)*

ANNA *(podchodząc)* Niech pan nie rozpacza, mam takich szali kilka tuzinów, więc proszę się uspokoić...

ON *(łkając jeszcze bardziej)* Ale ja straciłem pół dnia, przeszukałem dwukrotnie wszystkie sklepy w naszym mieście i na przedmieściu, ten znalazłem dopiero w kącie wystawy w tym droгим sklepie przy katedrze, gdzie każdy drobiazg jest czterzy razy droższy niż gdzie indziej... *(placze rzewnie, a w chwilach natchnienia – histerycznie)*

ANNA Ach, co tam, niech pan się tym tak nie przejmuje, błagam pana, nic się nie stało. *(cicho)* Mówiłam panu, że nie przysłałam po szal, wcale mi na nim nie zależy.

ON Ale on kosztował, wie pani, ile kosztował...

ANNA Dobrze, kosztował majątek. Jak pan chce, mogę panu zapłacić za ten głupi szal, o, proszę *(wyjmuje większy banknot)* Więcej pan z pewnością nie zapłacił...

ON *(w smutku; wciąż jeszcze łkając)* Co pani, ja się grubo zapożyczyłem. *(bierze machinalnie pieniądze i zręcznie chowa do kieszeni, mamrocząc coś niewyraźnie; słysząc jakby: oddam, dziękuję, wdzięczny, dziękuję jeszcze raz, dziękuję, ale powiedziane jest to wszystko bardzo niedbale, „rutynowo”)*

ANNA (odchodząc) Do zobaczenia. ON Do widzenia.
(muzyka; lekkie ściemnienie, widać zaledwie sylwetkę mężczyz-
ny, który nalewa sobie coś do kielicha, a słyszać tylko oder-
wane fragmenty tekstu należącego do melodii, która była na
początku)

SCENA V

– *con serenità (wesolo)* –

(jasno, czysto, pogodnie; na ścianie wisi nowy obraz) (wchodzi Ewa, bardzo z siebie zadowolona)

EWA Jaki pogodny dziś dzień! Od razu człowiek czuje się inaczej, jakby odrodzony. Dziś wstałam wyjątkowo wcześnie, nawet zdążyłam to zapisać w swoim dzienniku, który nie jest ciągły, jest raczej perforowany przez spędzony nieużytecznie czas.
(do kelnera, którego nie ma, o czym Ewa nie wie) Wie pan – dzień dobry! – wie pan, że ostatnio przeczytałam ponownie kilka powieści Dostojewskiego, a nawet Balzaka, którym pan się tak przechwalał. Znalazłam tam, a właściwie odkryłam, całe złoża fascynującej lektury. Powinno się wracać do ulubionych autorów, nie uważa pan?

(wchodzi ANNA)

ANNA *(cicho)* Dzień dobry. *(siada osobno; nie rozgląda się, wyjmując plan miasta, nieduży, i coś w nim – bez większego zainteresowania – wyczytuje)*

EWA A co pan czytał ostatnio? Oczywiście poza prasą sportową... Wie pan, bardzo miło się z panem rozmawia, ale gdyby pan się tu zjawił, mogłabym nawet coś zamówić.

ANNA *(podnosi głowę nad planu, sucho)* Jego nie ma.

EWA *(patrzy badawczo na ANNE; po długim czasie)* Jeżeli z nim rozmawiam, to znaczy że jest.

ANNA *(obojętnie)* Nie ma go; ale wkrótce przyjdzie, proszę się nie niepokoić.

EWA *(z niechęcią)* Dlaczego miałabym się niepokoić? *(po chwili)* Skąd pani wie, że zaraz przyjdzie?

ANNA Widziałam go, jak rozmawiał z dwoma osobnikami. Takimi – jak by to powiedzieć – duchowo mniej rozwiniętymi. Miał im wiele do powiedzenia. W trójkę zaśmiewali się z jego konceptów. Pomyślałam sobie: ten człowiek nie ma nic z życia, ale ma przynajmniej przyjaciół. A z usposobienia jest Włochem. Oni stale powtarzają: noi siamo elastici.

EWA Jak można być Włochem z usposobienia? Nie mogę sobie wyobrazić, że z usposobienia – w oczach innych jestem na przykład Koreanką. Albo: że zachowuję się jak kobieta z plemienia Bantu. Proszę mi to wytłumaczyć, zanim zjawi się tu pani elastyczny znajomy.

ANNA (*spokojnie*) Tylko pewne narody odznaczają się określonymi, uchwytymi dla nas cechami. Włosi, Francuzi, Niemcy, naturalnie Anglicy, Rosjanie, może nawet snobistyczni Polacy. Mowa o mężczyznach, kobiety są zawsze jakby mniej wyraziste. Włoch jest na ogół mało pracowity; jego głównym zajęciem jest śpiewanie, oglądanie się za kobietami i zaczepianie ich, rozmowy o piłce nożnej, chwalenie się przed innymi i żałosne popisywanie się. Zdaje się, wymieniłam wszystkie ważniejsze cechy. Na niższym poziomie – oszukują i kradną. Obiekt pani zainteresowania nacechowany jest – można by powiedzieć – włoskością łagodniejszego rodzaju. Niepotrzebnie lokuje go pani w sektorze intelektualnym, bo sądząc po poziomie jego przyjaciół, jest mu z nimi wyraźnie lepiej niż z osobami, którym – z natury swojej profesji – musi usługiwać. (*po chwili*) Właśnie widzę, że do inkryminowanej przeze mnie trójki dołączyły dwa dodatkowe indywidua, zanoszą się więc na dłuższą rozmowę. Wie pani co? Pójdę się rozejrzeć po tej dzielnicy, wyczytałam z planu, że jest u nawet cerkiew prawosławna. Wrócę tu za jakiś czas. Zapewniam panią, że w końcu się tu zjawi. (*patrząc na EWE analitycznie*) Na razie. (*EWA wstaje, przygląda się nowemu obrazowi, dotyka jego materii, cofa się – jakby ze znawstwem – i znów przygląda się obrazowi; muzyka*)

(*po dłuższym czasie wchodzi ON*)

ON O, dzień dobry. Pozwoliłem sobie pójść do piekarni po świeże bułeczki, niestety piekarz poszedł coś załatwić, więc

postanowiłem szybko wrócić na moje stanowisko pracy, ale spotkałem dobrych znajomych i trochę sobie porozmawialiśmy. Naturalnie obserwowałem bacznie wejście do kawiarni, ale nie zauważyłem, żeby ktoś tutaj wszedł. *(pogodnie)* Czy pani tu może nocowała? *(śmieje się głupio)* Żartuję... Jeden z tych znajomych opowiedział świetny dowcip! Myślę, że nie powtórzę go pani, był bardzo – jak to się mówi – pieprzny. Czemu pani tak na mnie patrzy? Pieprzny – to znaczy nieprzyzwoity.

EWA *(mrużąc oczy, ze smutkiem)* Tak, ona miała rację. Pan już na pewno nie czyta powieści. *(jakby do siebie)* Elastycznemu Włochowi wystarczają w zupełności tłuste dowcipy. **To** jest ich literatura.

ON Nie wiem, o czym pani mówi, ale z pewnością ma pani rację. *(po chwili)* Czym mogę służyć? Aha. Kawą, dobrą, niemal domową kawą. *(odchodzi)*

EWA Tak, bardzo proszę, może być domowa. Czy ten nowy obraz jest pana dziełem?

ON *(z odległości)* Nie. Ja nie maluję. Owszem, param się twórczością, ale nie malarską. Mnie pędzel strasznie szybko wysycha, a kiedy go zmoczę, obraz wygląda tak, jakby ktoś wylał na płótno kawę albo wręcz nań zwomitował. Szczerze wątpię, by ktoś taki obraz podziwiał. Ludzie chcą czystej manufaktury. *(podchodząc z kawą)* Piszę powieść. Bardzo ludzką, bardzo realistyczną, taką z życia. *(westchnienie)* Dwie niemłode już, ale atrakcyjne, a przede wszystkim bogate kobiety zakochują się w młodym, bardzo przystojnym mężczyźnie, który jakkolwiek para się mało interesującym zawodem, ma jedno tylko pragnienie: zostać wybitnym, podziwianym i szanowanym pisarzem. O, widzę, że niepotrzebnie zameczam panią swoimi zainteresowaniami. Zwierzyłem się z nich tylko mojemu profesorowi, z którym łączą mnie rozmowy telefoniczne. Nigdy tu nie przychodzi. Kiedy dowiedział się, że pracuję w byłej kawiarni literackiej, oznajmił mi sucho; że mimo iż mnie lubi, nigdy tu jego noga nie postanie. Profesor jest bardzo światłym człowiekiem. Uczyl nas, patentowanych durniów, jak się wyrażał, bez szczególne-

go zapalu, choć nas wszystkich lubił, ale jego konikiem były losy niedoszłych pisarzy, wie pani, takich kretynów bez talentu, którzy marzą o sławie literackiej. Zestawił w ciągu kilkudziesięciu lat pracy spory katalog takich oferm, a ponieważ był z natury perfidny, gorąco namawiał i nas, byśmy zajęli się twórczością pisarską, bo tylko ona na świecie coś znaczy. Powoływał się na Dantego i Goethego, na Flauberta i Joyce'a. Mnie nie musiał do niczego przekonywać, ja już od dziecka wytyczyłem sobie mój cel. *(po chwili)* Profesor bardzo chwali mój zamysł; powiada, że trafiłem na materię może najbardziej ciekawą: kobiety zawsze lgnęły do pisarzy, bez namysłu zostawały ich kochankami, wodziły za nimi swoimi cielęcymi oczyma, zrobiłyby wszystko, by na nie choć przez chwilę życzliwie popatrzili *(zimno)* Czemu pani tak na mnie patrzy? Wiem, przyrządziłem pani kawę, której nie da się dopić. Znam to uczucie. Niesmak, który odtrąca. Który gasi pragnienie, co ja pieprzę: niesmak, który niweczy pragnienie. Mówiąc pragnienie nie mam na myśli pożądania, lecz owo – jak mówi medyczna definicja – uczucie suchości w jamie ustnej, a także parcjalnie w przełyku, którego pacjent doznaje wówczas, kiedy mu się strasznie chce pić. No takie jak na Saharze. Taki delikwent pustynny nie powie: napiłbym się czegoś, lecz występuje – jak w filmie – swoje: pić, pić, pić...

(wchodzi ANNA)

ANNA Z ust mi pan to wyjął. Dziś jest tak gorąco, nawet w cerkwi czuło się upał nie do zniesienia. *(po chwili)* Chce mi się pić... pić... i – spać...

ON Ciekawe, mnie też się chce spać.

EWA *(drwiąco)* To może prześpijcie się razem.

ANNA *(dopijając wodę, którą przed chwilą otrzymała od niego)*

E, nie. *(od rzeczy)* Ja i tak już jestem spóźniona. Wychodzę.

(wychodzi; za nią EWA, która „robi paluszkami” pa, pa)

ON *(do publiczności)* To są dopiero egzemplarze...

(na scenie ściemnia się)

SCENA VI

– *oscuro (ciemno)* –

(ciemność; niesamowita, demoniczna muzyka, z ciemności wylania się bardzo wolno postać MEFISTA)

MEFISTO *(siada za stołem)* Lubię ciemność. Z wzajemnością. W ciemności lepiej widzę, jak kot! Na ogół aktor nie widzi publiczności. Publiczność widzi aktora, a on widzi przed sobą ciemną masę. *(do technika)* Panie Dariuszu, proszę, niech pan jeszcze trochę ściemni, troszeczkę. *(po chwili)* O, tak dobrze. W teatrze naród powinien słuchać, nie patrzeć. Więc potrzebna jest ciemność. Czy kogoś zainteresowałyby jasne interesy, skądże, jasne, że muszą być ciemne! W przedziale kolejowym zgasło światło, co mówi ciemny typ, który zrobił już przegląd wszystkich twarzy, torebek i nóg? Mówi: gdzie ciemno, tam przyjemno. Niegramatycznie, bo co się będzie wysilał. A mnie szef wciąż karczi: no, nie wysiliłeś się, bracie, ostatnio. Więc się wysilam. Nie mówię jak byle cham: a, co się będę wysilał. *(po chwili)* Wysilam się tak od lat i jestem już tym zmęczony. Ale może się przedstawię. Jestem Don Carlos Emanuel Juan Pablo Bździsław Gianluca Mefisto Venti Quattro. Venti Quattro – wyjaśniam to tej części widowni, która nie zna włoskiego – znaczy dwadzieścia cztery. Właściwie powinienem się nazywać Venti Quarto, ale szefowi nie chce się zaglądać do słownika, tak jak zapewne i państwu, bo po co się wysilać, więc posługuje się zwykłymi numerami, tak jak się nazywa agentów. I pewno ma rację, bo ja jestem agentem. Agentem Księcia Ciemności. Wysyłają mnie na ziemię nie po to, żebym sobie zobaczył, jakie to

cudaczne zmiany zaszły na ziemi, czy żebym sobie pograł w jakimś kasynie, lecz po to, by wykonać jakiś nowy numer. Ten nowy numer, którego istoty i treści nie zdradzę, jest wyjątkowo trudny. Więc będę się musiał – wysilić. Tak, wysilić. Słowo wysilić pochodzi od słowa siła. Siła złego na jednego. Aha, państwo może dziwicie się, że wśród serii imion, które wymieniłem, pojawiło się arcypolskie imię (*do publiczności*) no, jak to było: Emanuel Juan Pablo Eusebio – i co dalej, kto pamięta, (*otrzymuje lub nie otrzymuje jakąś informację*) no właśnie, Bździsław. To po moim pradziadku ze strony matki. Kiedy urodziłem się w Gnieźnie w jedenastym wieku, onże – mój pradziadek – spojrzał mi w ślepią i orzekł: ten-ci do pracy chęcią odznaczał się nie będzie, tedy nazwijcie go nie, jak chce moja durna wnuczka, Stanisław, jeno Bździsław. Ale w końcu jest to moje szóste imię, a w serii przeważają dumne imiona hiszpańskie, które dobrze zaświadczać o moim hiszpańskim pochodzeniu, o mojej hiszpańskiej dumie. Na sali widzę, bo przede mną nic się nie ukryje, znakomitego teatrologa, no mój panie, z czego to cytat? Stolz will ich den Spatyer! Co, nie słyszę, tak, z *Don Carlosa* Fryderyka Schillera, tak, tak, to ten nieśmiały starszy pan, brawo młodzieńcze, brawo! Schiller chciał powiedzieć, iż chce, by Hiszpan pokazał swą dumę, ale wyszło mu – pewno przez nieuwagę – zdanie: dosłownie – dumnym chcę Hiszpana, co gramatycznie odpowiada mniej więcej poziomowi kumochy, która powiada ni mniej, ni więcej: „mąż lubi mnie bogato ubraną”. Niepotrzebnie rozwodzę się nad imionami i gramatyką, a tu czas mija, pracy mnóstwo. (*wychodzi; za sceną*) Pani Ewo, wszak tak panią zwa, pani wychodzi na scenę dopiero po nim, nie zaraz po mnie. (*po chwili*) Ktoś mi nadepnął na ogon. Ach, to ty, Błażejku...

ni
L nier spanier

SCENA VII

– *pazzamente (obłądnie)* –

(półmrok; muzyka)

(po jakimś czasie zjawia się ON z książkami pod pachą; muzyka ścisza się, światło pada na nowy obraz; tym razem bardzo abstrakcyjny, surowy i oszczędny w środkach)

(telefon)

ON Tak, słucham. Ach, to ty, mamo. Co mówisz? Jutro imieniny ojca? Nie mogę przyjechać, jestem tu związany pracą, a poza tym piszę powieść. /-/ Taką z życia. Chciałbym napisać coś niezwykłego. /-/ Tak, naturalnie, zadzwonię i złożę mu życzenia. /-/ Dobrze, nie zapomnę. /-/ Tak, jak skończę pisać, zadzwonię. Pa, mamo. *(odkłada słuchawkę; wyjmuje kalendarz)* Jutro, wtorek, raniutko zadzwonić. Ucieszy się; pewno, że się ucieszy.

(telefon)

ON A, to pan, panie profesorze. Po głosie poznaję, że jest pan z siebie zadowolony. /-/ Ostatnio przychodzą tu takie dwie, zdaje się bardzo bogate, panie. Przyciągam je moim wysławianiem się. Nie – żadne: służę, proszę, dziękuję, lecz całe tyrady. Są wykształcone, inteligentne, ale są kobietami, więc słuchają moich eksplikacji chętnie, tym bardziej, że czasem pozwalam im opowiadać o sobie. Obie są głupio zadurzone we mnie, ale mnie to nie przeszkadza. /-/ Nie, namotać je sobie nie jest dziś tak łatwo, wie pan, panie profesorze, w ostatnich czasach kobiety strasznie się wycwaniły. O, przepraszam, muszę już kończyć, zdaje się, że idzie jedna z nich. Do

usłyszenia zatem /-/ Tak, panie profesorze. Ale czy już jest blisko! – czy pan naprawdę chce usłyszeć, jak je sobie nakręcam? Dobrze, będę mówił głośno, więc otrzyma pan pełny wgląd w moje zalotnicze praktyki. *(delikatnie odkłada słuchawkę; wchodzi EWA)*

EWA *(radośnie)* Dzień dobry! Przyniosłam kawę najlepszego gatunku. Długo zastanawiałam się i kupiłam tę. *(wyjmuje z torebki efektownie opakowaną kawę i kładzie ją na stoliku)*

ON *(wierząc się koło telefonu)* Dzień dobry, co pani przyniosła? – bo nie dosłyszałem. Dziś rano spadłem z łóżka i chyba ogłuchłem.

EWA *(głośno)* Przyniosłam bardzo dobrą kawę i proszę, by pan z niej zrobił użytek. Na stęchłą kawę, której wczoraj nie mogłam dopić, nikt tu panu nie przyjdzie. Niech się pan postara o śmietankę z prawdziwego zdarzenia, a zobaczy pan, od rana będą się tu meldować tłumy.

ON *(cicho)* Pani jest dla mnie niezwykle dobra... *(odwraca się w stronę telefonu, słysząc: aha, chyba za cicho; głośno i wyraźnie:)* Pani jest dla mnie niezwykle dobra! *(uśmiech zadowolenia)*

EWA *(zdziwiona)* Dlaczego powtarza pan to samo zdanie?
I Mówi pan do mnie, czy uczy się pan jakiejś roli teatralnej?

ON Bardzo dobrze pani w tym zielonym. *(EWA nie ma na sobie nic zielonego)*

EWA Tak pan sądzi? *(mówi cicho)* Mam do pana wielką prośbę.
ON Przepraszam, naprawdę nie słyszę. My tu nie prowadzimy alkoholu, mogę pani przynieść wodę mineralną...

EWA Pan naprawdę nie słyszy czy tylko udaje? *(podchodzi do telefonu)* O, nie odłożył pan słuchawki na miejsce. *(trzaska słuchawką)* A czemuż to nasz pisarz dziś taki roztargniony? Twórczość powinna uszczęśliwiać, nie przygnębiać. Wiem, przeraziła pana postępująca głuchota. W tak młodym wieku! Wyobrażam sobie, co musiał czuć Ludwig van Beethoven, kiedy z każdym dniem pojmował coraz lepiej, że nie słyszy tak dobrze, jak kiedyś. Jednakże Beethoven był muzykiem, pianistą i kompozytorem. Głuchota stała się jego klęską. Ale

pisarz? Jeśli ma doświadczenie i talent, to lepiej, by nie słyszał, co inni mówią, w końcu zacząłby się wstydzić, że jest jednym z nich.

(telefon)

EWA *(odbiera telefon, dłuższa cisza)* Nie rozumiem. Dlaczego wyzywa mnie pan od kretynów? Jestem kobietą, więc mogę być co najwyżej kretynką i... *(do NIEGO)* Nie wie pan, jaka jest żeńska forma od słowa „buc”? Bucowa? Nie, to byłaby żona buca. A właściwie, co to za słowo: buc; mam nadzieję, że jest łagodniejsze od słowa kretyn. *(do telefonu)* Czy pan się nie pomylił, wybierając nasz numer? Nie pomylił się pan, aha. /-/ Niech pan przeprosi właściciela lokalu, nie mnie. /-/ Nie, nie jestem tu służbowo, odebrałam telefon, bo osobnik rodzaju męskiego, do którego ma pan pretensje, miał pełne usta, tak, teraz już połknął ostatni kęs hamburgera... /-/ Nie mogę dać go panu do telefonu, bo po pierwsze jest bardzo ciężki, a po drugie – teraz dłubie w zębie, a wiem, że przy tym procederze nie wolno mu przeszkadzać. /-/ Dziękuję. /-/ Co takiego? Myślę, że on pana też. *(odkłada słuchawkę; do NIEGO)* Muszę już iść. Ale myślę, że jest pan ze mnie zadowolony. Ten... buc chyba pana nie lubi. Do zobaczenia! *(wychodzi)*

SCENA VIII

– *romantico (romantycznie)* –

(muzyka; jasno)

(telefon – nikt nie podchodzi; muzyka, na scenie ściemnia się)

(telefon – ON podbiega szybko do telefonu: nic, za późno; wychodzi nieco podenerwowany, widocznie czekał na ten telefon)

(muzyka, ścisząca się, potem coraz głośniejsza; na jej tle: telefon; ON – podlatuje szybko, słuchawka wyskakuje mu z ręki, zręcznie chwytą ją)

ON *(gorączkowo)* Intuicja mi mówi, że to pani, pani Anno.

Przede wszystkim muszę panią przeprosić za zwierzenia na temat moich zamierzeń literackich. Ja właściwie nikomu o tym nie mówię, nie, przesadzam, o wszystkim wie profesor, który ostatnio często do mnie dzwoni. Wie pani, ilekroć zapyta mnie, co z powieścią, przestaje mnie ona interesować. Może zacznę malować, mówiłem pani, że mam poważne kłopoty z pędzlem. /-/ O, przepraszam, powołuję się na naszą rozmowę o malarstwie, a pani powiada, że nic pani sobie na ten temat nie przypomina. /-/ Ach, to pani Ewa! Macie panie podobny głos. No właśnie, z moich malarskich kłopotów zwierzałem się tej pani, którą pani, u nas w kawiarni, poznała. Przypomina pani sobie, taka niby dowcipna. Kiedyś chciała mi zapłacić bardzo grubym banknotem, nie miałem reszty, bo skąd, więc – idiotka – podarowała mi całą tę sumę, pewnie ma za dużo pieniędzy. Niektórym się to zdarza. Mnie nigdy. /-/ Jak to, podała się pani za panią Ewę, zabawne, wie pani, ona jest ogromnie małostkowa! Poczęstowałem ją stęchłą kawą, bo innej nie było, więc przyniosła mi kawę tak strasznie

wyszukaną przy tym tak smaczną, że nie mam odwagi podawać jej gościom. Sam ją wypijam! (*śmieje się*) To jest kawa, po której człowiek bez trudu wlatuje w regiony duchowe, o jakich może tylko marzyć. Musiała, głupia krowa, wywalić na nią cały majątek, w opakowaniu mieści się aż osiem paczek. Kiedy pierwszą z nich otworzyłem, poczułem, że od samego zapachu przeniosłem się do innego wymiaru. /-/ Nie rozumiem, więc rozmawiam z panią Ewą? Pani stara się mówić tak jak ona, a ona tak jak pani, a ja – idiota skończony – daję się na to nabrać. Jednego możecie być pewne, że już nigdy nie będę się zwierzał paniom przez telefon. Jak ja teraz wyglądam, jak świnia, która oczernia życzliwe jej osoby. Tak, miła pani, ja jestem taką świnia, dowiódł tego pani perfidny eksperyment! Jestem jedną z tych świń męskich, od których kobiety powinny trzymać się z daleka. /-/ Tak, jestem bydlakiem, ale pani też nie lepsza! Jak można! Jak można do intymnego związku – tak! nasz związek jeszcze nie jest związkiem, a już jest intymny... Powinna się pani wstydić! Tak, wstydić. O, widzę przez okno, że idzie pani Anna. Teraz wiem przynajmniej, kogo w końcu opieprzam. Tak, pani Anna, co by o niej nie powiedzieć, nie zdobyłaby się na taką podłość. Splurwa kłać!

ANNA (*wchodząc*) Dzień dobry! Na kogo się pan tak złości? Chyba nie na swojego szefa. Musi się pan powstrzymywać od takich słów, dziś – pan wie to lepiej ode mnie – nie jest łatwo o pracę.

ON (*jeszcze zdenerwowany*) Szef wyjechał do Tunisu, nie ma go, niech pani przyjdzie za tydzień, wraca w piątek. Możliwe, że zajrzy tu w sobotę.

ANNA (*spokojnie*) Co pana tak zdenerwowało? Przecież pan mówi od rzeczy!

ON (*ordynarnie*) No mówię pani: szefa nie ma, będzie w piątek, może będzie tu w sobotę, może pani zadzwonić i zapytać. (*nagle*) Nie! Niech pani nie dzwoni, zawsze ja odbieram, a musi pani wiedzieć, że nabrałem awersji do telefonów. Czy pani też robią kawały przez telefon? Mojemu byłemu

szefowi co noc o drugiej ktoś oznajmiał tak: dobry wieczór, dobrze, że cię, bracie mój, zastałem, dziś w nocy umrzesz! Odbierał przez dwa tygodnie te telefony, bo zawsze był, idiota, ciekawy, kto to może w nocy do niego dzwonić, i wkrótce umarł.

ANNA W nocy?

ON Nie, przed obiadem. Ostatnie jego słowa brzmiały tak: kiedy wreszcie, franco jedna, podasz mi te zu- i nawet nie zdążył dokończyć frazy. Zwiastowania tego dowcipnisia odbierała jeszcze w nocy przez jakiś czas jego żona, ale niedługo, najwyżej z tydzień. (*patrzy długo na ANNE*) No! Widzi pani, co może narobić taki zwykły telefon. Zupełnie zgłupiałem. Mówię pani o moim szefie, którego pani nie zna i nie potrzebuje. Przepraszam, gorąco panią przepraszam.

ANNA No, cóż, widzę, że ma pan same kłopoty. Z innymi i z sobą.

ON (*spokojnie*) Ja z sobą nie mam kłopotów. (*do publiczności*) Czasem mnie ktoś, jak się to dziś mówi, wkurwi, ale to po mnie elegancko spływa i za chwilę nie pamiętam, o co mi chodziło. (*do ANNY; surowo*) Co pani zamawia, muszę to wiedzieć. Nie mogę spełnić pani prośby, jeśli nie znam jej treści, to jasne.

ANNA (*zamysłona*) Co jasne?

ON Zrozumiałem. Otrzyma pani wyjątkowo wspaniałą kawę, którą udało mi się dostać niemałym sprytem. Otóż mój przyjaciel jest takim zwykłym, chamskim kelnerem, ale serce ma złote, otóż mój przyjaciel, który podaje czasem, jak mu się trafia zastępstwo, u konsula brazylijskiego, w zamian za usługi, których natury nie chciałbym pani zbyt długo wyjaśniać, obdarzył mnie małą paczuszką wyjątkowo smacznej kawy. Konsulowa tylko popatrzyła przez okno, a on już ryp pod koszulę kilka egzemplarzy tego kofeinowego cudu.

ANNA Przyjaźni się pan ze złodziejami.

ON (*zartując idiotycznie*) Ach, moja droga, skąd ta liczba mnoga!

ANNA (*swobodnie*) Pewno mu kiedyś powinie się noga i wyląduje w policyjnym lochu...

ON Lecz zanim beknie, wzbogaci się trochu.

Tu wszyscy kradną, rzecz powszechnie znana.

ANNA Brzydki to zwyczaj, więc żegnam już pana.

Już odechciało mi się dobrej kawy,

koniec z rymami, dosyć tej zabawy! (*chce odejść*)

ON Jakże okrutnie postępujesz ze mną!

ANNA Pan zatrzymujesz mnie wszak nadaremno.

ON Nie wychodź, miła, zaraz będzie ciemno.

ANNA Żegnaj, kochanku, ta twarz tak mi droga...

ON Coś mi się zdaje, że skrzypi podłoga,

Czas już najwyższy, by parkiet tu stanął!

ANNA Przyjdę na pewno, czekaj na mnie rano,

Gdy pierwszy ptaszek zaśpiewa kanconę,

Znów mą miłością do ciebie zapłonę

i niema stanę u Twego balkonu.

ON A ja cię kochać będę aż do zgonu. Koniec.

GŁOS Z „NIEBOSKŁONU”: Chwileczkę, co wy! Sztuka się jeszcze nie skończyła.

ON i ANNA (*razem*) Przepraszamy, chcieliśmy ją troszkę podgonić, by się nie dłużyła.

GŁOS Nie przesadzajmy My tu na górze mamy mnóstwo czasu.

(*muzyka; scena ściemnia się*)

SCENA IX

– *ritmico (rytmicznie)* –

(na scenie ciemno; nic nie widać, słychać tylko głos Mefista; toczy się jakby przyjacielska rozmowa – Mefisto mówi dwoma głosami; cicha, przyjemna muzyka)

MEFISTO Tak pan sądzi. Nieee! Myślę, że jest pan źle poinformowany, to się zdarza, nawet w biurach informacji, urzędnicy są źle poinformowani, a coś dopiero w zwyczajnym życiu...

MEFISTO *(drugim głosem)* Ahaa! Tumba la tumba mwembwe, nganga, matumbe kasongo aingu ngangu kuhara...

MEFISTO Czy ja wiem? Nie, nie sądzę. Widzi pan, w obszarze, który ja obsługuję, diabolus, słowo to pochodzi z greckiego diabolos, personifikuje potęgę, skierowaną przeciw Bogu. Diabolus jest złym duchem. Musi pan wiedzieć, drogi adwersarzu, że w każdym z nas, to znaczy, chciałem powiedzieć: w każdym z was, jak to się popularnie mówi: siedzi zły duch. Ktoś się oprze o kontuar, przy którym chce pan spokojnie wypić whisky and soda, a już ma pan ochotę dać mu w mordę, tak bez powodu, bo przecież kontuar nie jest pana własnością.

MEFISTO *(wrzeszcząc po wymownej przełynie drugim głosem)* Eee-inga! Ngolo mtinti! Nuba-nuba... *(spokojnie)* Sanuhu tigre mahombe. *(crescendo)* Rumange ngenge... *(wrzask.)* Wamba wamba kasongo!!! Nkando faga mahutu kontuar!?

MEFISTO Co się pan złości! Zdaję sobie sprawę z tego, że kontuar nie jest niczyją własnością. Podałem tylko prosty przykład, chodziło mi o to, że w każdym człowieku tkwi zły duch, demon...

MEFISTO (*drugim głosem*) Aaa! Chaga chokwe mgalala ntinti demon! Lemba makonte demon-demon!

MEFISTO No właśnie, demon, zły duch, diabeł, diabolus. W średniowieczu diabła przedstawiano sobie – z braku lepszego pomysłu – w postaci zwierzaka, mógł to być smok, kot, wilk, świnia, osioł, a nawet pies czy po prostu człowiek, taki jak pan, tyle, że z nieodzownym ogonem. Ale istotą diabła nie było jego przebranie, lecz misja, którą miał pełnić na ziemi. Jego zadaniem było i jest – siać zło i nieszczęście. Przemoc, nieprawość, gwałt, niesprawiedliwość – to nasza domena! Istnieją w tym zakresie różne techniki, niektóre są wprost idealnie rozwinięte, na przykład obietnice. Normalny człowiek powinien wiedzieć, że obietnice są po to, by ich nie spełniać. Mogę obiecać panu, że postaram się, bo ma się wpływy, a jakże, postaram się, żeby pan został wodzem szczepu Kanembu, ale wiem doskonale, że **pana** szczep jest tam znienawidzony i nawet gdybym z nimi rozpoczął chytre pertraktacje, nic z tego nie wyjdzie. Diabeł jest z natury swej profesji inteligentny i sprytny, ale prywatnie może być dodatkowo jeszcze złośliwy. Z pewnością czytał pan Bernanosa „Pod słońcem szatana” – „Sous le soleil de Satan...”

MEFISTO (*drugim głosem*) Aaa! Satan! (*szybko*) Lulanga fata nkando busanfa tombe satan! (*śmieje się idiotycznie*) Ngalela jebu! Bombinga lulang jebu! (*rzeczowo*) Mahutu mwebwe basamba satan wamba la wamba! (*przerwa*) Haaj! (*słychać kroki odchodzącego za sceną Murzyna*)

MEFISTO (*wchodząc na scenę*) Haaj! (*niedbale i jakby do siebie*) Haaj!

SCENA X

– *risoluto (zdecydowanie)* –

(jasne światło; ON siedzi pośrodku za stołem pokrytym czymś zielonym. Na stole książki, papiery, mała lampa i globus – ad libitum)

ON *(przerzucając papiery)* Jestem wciąż przy pierwszym rozdziale mojej powieści. *(pisze)* Jestem wciąż przy pierwszym rozdziale mojej *(namyśla się)* w zamierzeniu dużej powieści. Chwileczkę: nie – jestem, tylko tkwię. To będzie bardziej dramatyczne. *(czyta)* Tkwię wciąż przy pierwszym... Nie, to się źle wymawia: tkwię, *(przedrzeźnia te słowa)* tkwię, aż trzy spółgłoski, kto to wymyślił taki język? Czyżby wpływy czeskiego: bzbrani, krkwati, wsrani, oni to wyraźnie lubią, ale w naszym języku? – po co takie kombinacje spółgłoskowe, i tak potem, nawet na scenie jabłko wymawia się jak japko, albo jeszcze gorzej. Może zbyt dużo zastanawiam się nad takimi usranymi problemami i dlatego, po kilku tygodniach *(dyktuje sobie:)* po kilku tygodniach jestem, nie – lepiej: zatrzymuję się przy pierwszym rozdziale mojej – w zamierzeniu dużej skreślam, wystarczy mojej powieści. Dobrze. Tkwię – aż trzy samogłoski naraz, kto to wymyślił taki język... Może zbyt – nie dużo, tylko długo! może zbyt długo zastanawiam się nad takimi usranymi, usranymi skreślam... *(wstaje, podchodzi do publiczności)* Jak pani myśli: będzie coś z tego? Robota idzie mi rażno, może dlatego, że czuję się do niej powołany. Profesor zawsze twierdził, że coś tam we mnie tkwi, znów to słowo, ale co tam profesor, to stary,

zramolały dureń. Ale po co ja to wszystko państwu mówię. Nawet po kwadransie kawa w dobrym gatunku potrafi swoim ostrzem kofeinowym **dźgnać** – o, tu mamy nawet aż cztery spółgłoski – potrafi dźgnać moją duszę pisarską. (*sucho, błyskawicznie*) Dlaczego pan się śmieje? Na pewno nie próbował pan swego pióra. Pisał pan co kiedy? /-/ (*zadowolony z siebie powraca do stołu*)

(*słuchać nieśmiały głos: Czy pan tu jest?*)

ON Nie, nie ma mnie.

(*głos: Ale to pana głos, nieprawdaż?*)

ON Tak, to mój głos. Mówię swoim głosem, ale mnie nie ma. Nie ma mnie dla nikogo.

(*głos: Nawet dla mnie?*)

ON Nawet dla pana. Teraz pracuję. A kiedy pracuję – nie ma mnie dla nikogo.

(*głos: Ale my przyszliśmy obie z kwiatami!*)

ON Kwiaty, to co innego. (*krzyczy*) Wy tam w kwaciarni macie zbyt dużo personelu? W kwaciarni zawsze można zobaczyć niemłodą osobę, która starannie układa naręcza kwiatów w towarzystwie młodych nierobów rodzaju żeńskiego, które się temu leniwie przypatrują. Niech panienki zostawią kwiaty na progu, po pracy wezmę je sobie, jeśli tam jeszcze będą.

(*Głosy: Ale proszę pana / My nie jesteśmy / My jesteśmy / Właśnie dla pana / Są kupione w kwaciarni, ale my nie jesteśmy z kwaciarni / Chciałyśmy / Właśnie: pomyślałyśmy sobie – wszystka to w chaotycznym dwugłosie*)

ON Proszę przyjść za pół godziny. (*do siebie*) Kwiaty. Po co mi kwiaty? Mnie potrzebne jest natchnienie. Natchnienie typu Dante, albo przynajmniej typu Kafka.. O, à propos, trzeba sobie zrobić świeżą kawę, ta już jest zimna. Goethe – Johann Wolfgang von Goethe – sam sobie przyrządzał kawę. Nogi mył mu i kalesony wdziewał jego wierny sługa, zdaje się Eckermann mu było, proszę, zwykły, służący, a wszedł do literatury – ale kawę sam sobie przyrządzał: na koniec wkładał do spreparowanej przez siebie lury trzy świeżutkie ziarna prawdziwej kawy.

(wchodzi ANNA, z kwiatami)

ANNA Dzień dobry, chyba nie jesteście za wcześnie, pani Ewa wróciła się po płaszcz, który zostawiła w kwiaciarni, więc pozwoliła sobie wejść do pana, by złożyć panu osobiście życzenia z okazji pana urodzin. Bo dziś są pana urodziny, nieprawdaż? Wyczytałam o tym z wezwania do sądu, które otrzymał pan przed kilkoma tygodniami. Zapisałam sobie datę pana urodzin i – oto jestem.

ON (*bez sensu*) A gdzie jest ta druga osoba, bo słyszałem dwa głosy. Może poczekajmy na nią, nie lubię długich ceremonii. Nawet śluby daje się dziś grupowo.

EWA (*wchodząc*) Rozmawiacie o ślubach? No właśnie. (*wskazuje na ANNE*) Pani chyba już wyjaśniła sprawę. No świetnie. Nie przygotowałam wierszyka, ale życzę panu dużo zdrowia, wytrwałości, dobrej pracy, bo przecież nie będzie pan wiecznie usługiwał byle kretynom, i powodzenia w pracy pisarskiej.

ON (*zły*) Powodzenia w pracy pisarskiej, powiada pani.

ANNA (*skromnie*) Ja również. (*jak do kelnera*) Ja to samo, co pani.

ON (*poprawia niedobry humor*) Wiem, czego się panie napiją. Tym razem nie będzie to herbata, tylko coś mocniejszego. (*po chwili namysłu*) Herbata z rumem.

EWA (*zaciekawiona*) Jak panu idzie praca?

ON Zwyczajnie. Teraz idę po herbatę z rumem. (*odgrywa scenę*) Herbata z rumem trzy razy. (*nieśmiało*) A dlaczego trzy razy, jeśli wolno kolegę zapytać? (*z pozycji „pierwszego kelnera”*;) Bo pan, który służy, też się z paniami napije. (*„drugi kelner”*;) O, czyżby jakieś nowe perspektywy otwierały się przed kawiarnianą gastronomią!? (*„pierwszy”*;) Tak, drogi kolego. Są to jednakże bardzo wąskie perspektywy. Pana kolega ma dziś urodziny, a panie przyniosły mu kwiaty. Panie Adolfie, niech pan nie dyskutuje, tylko przyniesie te trzy herbaty. Panie czekają. Ja też! (*jako „drugi”*) Okej, już lece. (*wychodzi*)

EWA Czy nie uważa pani, że on jest mało zabawny. No dobrze, bawi publiczność, ale wie pani, jak to dziś wygląda...

ANNA Nie wiem, co pani ma na myśli. Uważam, że w roli „drugiego” kelnera był bardzo dobry.

EWA Jeśli już miałabym wybierać, wybrałabym „pierwszego”.

ANNA Dlaczego pani życzyła mu powodzenia w pracy pisarskiej? Gdzież on może być pisarzem?

EWA Gdzie... Wszędzie, może być nawet sławny i pani mu tego nie zabroni. On chyba ten rum gotuje...

ANNA Jest bardzo miły, ale nie zauważyłam u niego symptomów pisarskich. A przesiaduje po kawiarniach z najgorszymi mętami.

EWA Robi to po to, by je móc jak najautentyczniej opisać. Robi tak w Niemczech Schwanzegger i od lat nie schodzi z listy bestsellerów. Sprzedaje się łatwo. Wydawcy tęsknią do takich.

ANNA (w zadumie) Nie chciałabym, żeby nasz pisarz łatwo się sprzedawał. Chciałabym – jeśli już tak musi być – by był znakomitym stylistą.

EWA Schwanzegger nie jest żadnym stylistą. Umie pisać mocne sceny, a to najważniejsze: facet podrzyna gardło własnemu sobowtórowi...

ANNA I pani czyta takie rzeczy, naprawdę?

EWA Nie, ja tylko czytam o autorach.

ON (wchodząc) Rumu nie ma. Może być sowiecki szampan. (siada, poprawia się „bardzo prywatnie” na krześle, wreszcie wstaje; po długiej chwili wypełnionej namysłem) Ta scena nam jakoś nie wyszła. W każdym razie ja zagrałem końcówkę fatalnie. (po chwili) Pani też.

EWA Dlaczego? Pan to musi zawsze wszystko zepsuć. Nie wiem co prawda, jaki sens ma zdanie: facet podrzyna gardło własnemu sobowtórowi, ale myślę, że wypowiedziałam je z wystarczającą fascynacją...

ON Czy ja wiem? (do ANNY) A pani powiedziała zdanie pytajne, jak gdyby to było stwierdzenie. Wybiła mnie pani z rytmu.

ANNA (opryskliwie) Nie wiedziałam, że pan ma jakiś swój rytm. Ale ma pan rację, to faktycznie jest zdanie pytajne, jest nawet – teraz to widzę wyraźnie – zaopatrzone w pytajnik.

ON Trzeba czytać uważnie. Zagrajmy jeszcze raz od słów: A przesiaduje po kawiarniach z najgorszymi mętami. (*wychodzi*)

ANNA (*sucho*) Może nieco wcześniej. (*gra*) Jest bardzo miły, ale nie zauważyłam u niego symptomów pisarskich. A przesiaduje po kawiarniach z najgorszymi mętami.

EWA Robi to po to, by je móc jak najautentyczniej opisać. Robi tak w Niemczech Schwanzegger i od lat nie schodzi z listy bestsellerów. Sprzedaje się łatwo. Wydawcy tęsknią do takich.

ANNA (*w zadumie*) Nie chciałabym, żeby nasz pisarz łatwo się sprzedawał. Chciałabym – jeśli już tak musi być – by był znakomitym stylistą.

EWA Schwanzegger nie jest żadnym stylistą Umie pisać mocne sceny, a to najważniejsze: facet podrzyna gardło własnemu sobowtórowi...

ANNA (*niezwykle starannie*) I pani czyta takie rzeczy, naprawdę? (*gest zadowolenia*)

EWA Nie, ja tylko czytam o autorach.

ON (*wchodząc triumfalnie, przerysowuje grę*) Rumu nie ma. Może być sowiecki szampan.

EWA (*mądrze*) Nie może być, bo sowietów już nie ma.

ON Ale w sklepach są jeszcze stare zapasy. Znam rosyjski i potrafię czytać bukwę. (*wskazuje paniom uprzejmie miejsce przy stole, w tym celu ułożył – ku ich zdziwieniu – oba krzesła*)

Proszę usiąść. (*ostro*) Nie! Pani po lewej, a pani po prawej. (*panie dyskretnie i czule siadają, gdzie trzeba*)

ON (*surowo*) Została pani wezwana jako świadek w sprawie morderstwa. Widziała pani, jak Świętokradzki mordował denata?

EWA Tak. Podrzynał mu gardło. (*po chwili*) Pomagałam mu przy tym...

ANNA Jezu!

ON Spokój! Jak to pomagała mu pani? Przytrzymywała pani głowę denata?

EWA Nie. Zwyczajnie. Widziałam tę scenę przez okno i w duchu życzyłam Adziowi, to znaczy panu Świętokradzkiemu, żeby mu się powiodło.

ON Aha, życzyła mu pani, że się tak wyrażę, powodzenia. (*zastanawia się*) O ile się nie mylę, pani nieśmiała, a intymne życzenie nie podpada pod winę za współudział. Gdyby panie były w większej grupie – to owszem. Świadców lynchowania na przykład karano równie surowo jak tego, który wieszał. Więc w sumie nie dziwię się wcale, że pani nie siedzi w areszcie. (*nagle do ANNY*) Pani widziała tę scenę, co?

ANNA (*niewinnie*) Nie, skądże. Ja na sam widok noża mdleję. Mam to od dziecka.

ON Co paru ma od dziecka? Od jakiego dziecka? Dziecko też to widziało? To sprawę komplikuje. Dzieci nie są dobrymi świadkami; kobiety nie za bardzo, a co dopiero dzieci!

ANNA Powiedziałam, że na sam widok noża mdleję.

ON (*wyjmując z szuflady stołu długi nóż; który stawia ostrzem do góry*) Jepp!

ANNA O, jaki ładny nóż! Przydałby się taki w domu. Do krajania salcesonu: Przy małym wszystko się rozpada.

ON Do salcesonu, powiada pani, tak, tak... (*zastanawia się*) Więc pani, (*do ANNY*) widziała tę scenę i życzyła mordercy powodzenia, a pani (*do EWY*) wtedy zemdląca, dziwne. Dziecko też zemdląco? Czy może było brawo? Pani wie, że dzieci szybko wyrastają na małych skurwiele?

(*obie chcą coś powiedzieć*)

ON Milczeć. Sprawa jest dla mnie jasna. EWA i ANNA Ale...

ON (*szybko*) Kto powiedział „ale”? (*spokojnie, a perfidnie do Ewy*) Więc pani życzyła Świętokradzkiemu powodzenia. Od kiedy pani żyje z oskarżonym, chciałbym to wiedzieć. Mnie to nie interesuje, ale chciałbym to wiedzieć.

ANNA (*chce coś powiedzieć*) Przepraszam, ale...

ON (*przerywa ANNIE*) Milczeć i nie przeszkadzać.

ANNA To może ja już sobie pójdę. Obiecałam dziadkowi...

ON Pani dziadek też jest w to wmieszany.

ANNA (*cicho do EWY*) Co to znaczy wmieszany?

ON Milczeć, powiedziałem. (*do EWY*) A zatem: widziała pani, jak Świętokradzki podrzynał delikwentowi gardło.

EWA Mogę nawet podpowiedzieć panu nadinspektorowi, że miał wystudiowany sposób trzymania denata za krawat, zresztą mało gustowny. Krawat, nie sposób. To była wyższa szkoła.
ON Wyższa szkoła, powiada pani. Więc pani jest jeszcze studentką.

(EWA patrzy na Inspektora z niedowierzaniem)

ON Indeks.

EWA Proszę. *(podaje indeks)*

ON Same dobre stopnie. Ja takich nie miałem. Co pani studiuje? Milczeć. Widzę: psychologię. Źle. *(cisza)* Psycholodzy są bardzo złymi świadkami. Mają swoje teorie, zanim się jeszcze co stanie. Psychologię dziecka zdawała pani pięć razy.

ANNA *(śmieje się głupio)* Ha-ha! Ha! ON *(do ANNY)* Pani indeks.

ANNA *(z ociąganiem wyjmując indeks)* Proszę. Ale proszę nie czytać na głos. Ja wiem, co tam jest napisane, a pan inspektor umie czytać.

ON Milczeć! *(po chwili)* Mu-zy-ko-logię studiuje...

ANNA To z miłości do muzyki.

ON *(wskazuje na indeks)* Widać – nieodwzajemnionej.

ANNA Profesorowie są bardzo wymagający.

ON Świętokradzki podobno też studiował muzykologię. Dwa tygodnie. Czy panią coś z nim łączyło? Mówiąc prościej: czy pani z nim żyje, co ja pieprzę, siedzi w areszcie, więc: czy pani z nim żyła?

EWA *(oburzona)* Żyła. Żyła! *(jak przekupka na placu)* Sameś żyła! Jakie pan ma kwalifikacje, żeby wypytawać z teorii muzyki wybitną muzykolożkę? Gra pan na jakimś instrumencie? Wie pan, czym żywi się kontrapunkt? Jak rozmnażają się nuty? Nic pan nie wie!

ON *(chce coś powiedzieć)* Ajaziamyzia... *(i co tam jeszcze)*

ANNA *(atakując)* Milczeć!!! *(otwiera jakąś teczkę)* Pracował pan ze Świętokradzkim na tym samym posterunku trzy lata, trzy pełne lata i dwa miesiące. Dla poprawy samopoczucia uzbrojony pan był w nóż sprężynowy.

(rzuca na stół opakowany w folię przedmiot) Poznaje pan to narzędzie?

ON (*próbuję coś powiedzieć*) Ajaziamyziatiato...

EWA Jużś to mówił, gnoju, co się powtarzasz! (*do ANNY*) Ależ to gnida! (*ordynarnie*) Jeż-coo! Wywliczymy do śństwo do kiblachu, nimogę paczyć na to ździerwo!

ANNA (*chowa nóż do torebki*) Poczkej, pomogie ci.

(*obie wywlekają przez scenę Inspektora*)

(*przyjemna muzyczka, światło ściemnia się*)

SCENA XI

– *misterioso (tajemniczo)* –

*(ciemność; głęboko emocjonalna, bardzo poważna muzyka; wi-
dać tylko sylwetkę Mefista, który cicho skrada się po scenie;
podchodzi do stołu wypełnionego papierami, świeci sobie latarką,
czyta i komentuje)*

MEFISTO Tak, to bardzo dobry tekst... Tekst kretyna, który nie tylko źle buduje zdania, ale też nic nie ma do powiedzenia. O, proszę: „dziś rano wstałem wcześniej, żeby przemyśleć zakończenie pierwszego rozdziału”. Kretyn. Z tego, co wiem o pisarzach, a wiem wiele, bo przyjrzałem się tym wszystkim ambitnym jegomościom, pisarz ma jakiś pomysł, potem robi notatki, które stanowią dla niego doskonałe oparcie materiałowe i psychiczne, a potem siada i pisze. A pisze, bo pociąga go do tego temat, który sam wymyślił, a który nim teraz całkowicie zawładnął. W pewnym sensie, nie wiedząc, co będzie pisał, **wie** o czym będzie pisał. A ten – chce rano „przemyśleć zakończenie rozdziału”! Zamiast rzucić się do pisania jak mucha na kał, usiądzie debil i zacznie kombinować. *(chwila ciszy, muzyka znika)* Ale mnie się to nawet podoba. Szef wyznaczył dla mnie sektor pisarzy, przeglądał kiedyś, o, to było dawno, jeszcze w średniowieczu, moje zapiski i ustalił, że będzie dobrze, jeśli zajmę się pisarzami. Największe kłopoty miałem z Petrarką. On rzeczywiście miał talent, miał też wielką inwencję, wymyślił sobie Laure i smarował niby to w hołdzie, choć była to smarkuła kilkunastoletnia – tak piękne poezje, że mi się go aż żal zrobiło. Jedyny raz w moim życiu

zrobiło mi się żal mojej ofiary. Potem stałem się na wszystko odporny. Kiedy Wolter płakał nad swoim losem w więzieniu w Bastylii, powiedziałem mu wprost: co się, bucu, tak ohydnie rozczulasz nad swoim zasranym losem? Zalazłeś za skórę Filipowi Orleańskiemu, więc siedzisz. Miałeś za to swoją radość, kiedy wrywano sobie z rąk odpisy twoich szyderczych i złośliwych wierszy. W przyszłości zrzuć winę na jakiegoś opata, oni dla zabawy czasem zajmują się takimi procederami. Bądź mądry, durniu – powiedziałem – i chowaj się za pseudonimami. Do diabła z twoimi radami – rzekł François Marie Arouet, Wolterem zwany – więc opuściłem jego smrodliwy loch i udałem się do szefa po dalsze rady, których mi nie skąpił, bo jakoś dowcipny Wolter przypadł mu do gustu. Na kartce, którą zachowałem na pamiątkę i wciąż jeszcze noszę przy sobie, o, oto ona, (*pokazuje publiczności*) wypisał mi w skrócie, co miałem podszeptywać temu inteligentnemu dzikusowi: ma pisać kalumnie, ośmieszać poważne instancje, bratać się z królami, pisać nudne dramaty i zajmować się loterią, lichwą i handlem broni, co mu przyniesie bogactwo i niezależność. Przez sześćdziesiąt lat nękał i wykorzystywał możnych. Uważam, że był moim najlepszym klientem. A teraz mam się zająć tą mendą, która nie potrafi wyartykułować najprostszej myśli. (*po chwili*) Aha, pani chciałaby wiedzieć, co się stało z Petrarą To był sympatyczny, nieszkodliwy jegomość, bardzo pouczająca figura. Po śmierci Laury, która przypuszczalnie z całą pewnością chyba na pewno w ogóle nie istniała, poświęcił jej aż sto trzy poematy, a zanim umarła, jeśli w ogóle żyła, aż 263. Laura jawiła mu się przeważnie we śnie. (*mały flirt z publicznością*) Niece, skądże, narkomanką nie była, to była młodziutka, niewinna osóbka, jeszcze milsza niż Gretchen tego, jak mu tam, a, Goethego. Muszę oddalić się cicho, bo oto – jak mi się zdaje – nadchodzi nasz współczesny geniusz. (*wychodzi*)

SCENA XII

– *inquieta (niespokojnie)* –

(wchodzi ON; staje za biurkiem, rozgląda się)

ON O! Ktoś tu był. Jakiś dziwny zapach. Nie, to nie papierosy, fajka też nie, o perfumach nie ma mowy. A zapach intensywny, taki jakiś chemiczny... mnie nikt nie oszuka, słuchu nie mam, do czego się bez bicia przyznaję, że wzrokiem coraz gorzej, ale węch mam dobry. Dobry, wyostrzony, niezawodny, znakomity węch. Mógłbym konkurować z najznakomitszymi psami myśliwskimi, nieomylnie tropiącymi zwierzynę. No, może nie odróżniam ilościowo tak ogromnej bodaj sześciomilionowej masy zapachów, ale wiem, co gdzie pachnie. A musicie państwo wiedzieć, że nawet ekskrementy różnych osobników pachną różnie, to znaczy śmierdzą, ale też różnie. A to nie są ekskrementy, to jakiś chemiczny zapach. Zapałki? Płyn do wulkanizacji kauczuku? Tłuszcz do trawienia żelaza. *(po przerwie)* Amonowy nalot wskazuje nieomylnie na kwas siarkopodobny. Ktoś tu był, stał, pochylił się nad moim biurkiem, spocił się bydlak, pewno, że bydlak, kobiety inaczej czuć, spocił się tedy i pozostawił po sobie kwaśny smród, tak, to on. On! Diabeł!

MEFISTO *(wchodząc spokojnie i godnie do pokoju)* Tak, to ja. Niepotrzebnie grzebał pan w chemii, o której nikt z nas już nie ma pojęcia, a wystarczyło rzucić okiem na biurko, wówczas zobaczyłby pan leżącą na nim wizytówkę. Jestem Don Carlos Emanuel Juan...

ON *(przerywając frazę Mefista)* Pan se życzy?

MEFISTO O, widzę, że mam do czynienia z wyjątkowo wyrafinowanym osobnikiem. (*przedrzeźnia JEGO*) Pan se życzy? (*przymilnie*) Tak powie dziś tylko człowiek arcyinteligentny, a powie tak niechybnie dla zabawy.

ON Faktycznie, powiedziałem tak dla zabawy. Po chamsku, czyli zwyczajnie, jak taki prosty, od kilku dni miastowy człowiek z ludu. (*dumnie, ale pokracznie*) Jestem pisarzem. I kiedy zechcę, a nie jest to wykluczone, mogę się wysławiać w sposób wyjątkowo wyrafinowany. Ale widzi pan, Don Carlosie, pisarz nie pisze dla siebie, pisze dla mas, więc musi być łatwo zrozumiany. Zdania krótkie, ale coś mówiące. Myśl oryginalna, ale ukazana w stężeniu. I język giętki, elastyczny, podatny na urok niespożytego słowa. Bo słowo, mój drogi...

MEFISTO Powtarza pan frazesy, które wypowiadał w kawiarni słynny eseista.

ON I co z tego? On te zdania wypowiadał obrzydliwie sepleniąc, a przy tym odpluwał między zdaniami przykrymi dla widoku żółtymi wydzielinami. A ja wygłaszam je czysto, nienaganie, z dodatkiem pożytecznej w tym przypadku emfazy... Ja wierzę w to, co mówię. A tak między nami: po co pan przyszedł?

MEFISTO (*z emfazą*) Przywiódł mnie do pana, nie, źle: sprowadziła mnie tu pogłoska, że zamierza pan napisać powieść, niezwykłą, oryginalną, niepowtarzalną powieść.

ON Istotnie, mam taki zamiar.

MEFISTO Zamiar to arcyszlachetny. Pan jeden wie i czuje to każdym fibrem pana jestestwa, że ludzkość zesła dziś do rangi motłochu. Studenci filozofii żywią się komiksami, ich profesorowie, zamiast uczyć, choć nie ma kogo, gapią się całymi godzinami we francowate ekrany, z których płynie śmierdząca, antyintelektualna ciecz; panie, które jeszcze nie tak dawno fascynowały się sztuką i popierały wybitnych artystów, teraz zaczynają...

ON (*spokojnie*) Spokojnie, mój przyjacielu. Uspokoję twą duszę kojącą wieścią, że są jeszcze... (*mówi dalszy ciąg cicho*)

MEFISTO (*głośno*) Ach! To pocieszające. Nawet bardzo. Usposokoił mnie pan i zachęcił do pracy.

ON A tak między nami: nad czym pan teraz pracuje?

(*mówi to obojętnie, zasiada do biurka, daje ordynarny znak, by Mefisto zostawił go w spokoju*)

MEFISTO (*odchodząc; do siebie, ale tak, by ON to styszał*) To geniusz...

SCENA XIII

– *ridicolosamente (śmiesznie)* –

(jasne światło; przy stole – ustawionym inaczej – stoi ON, zadumany i jakby rozmarzony)

ON *(patrząc przed siebie)* Pisanie powieści z pewnością nie jest zajęciem najłatwiejszym. Ale to nie jest głównym problemem literatury. Jej główny problem polega na tym, że powieści dziś nikt nie czyta. Sam tego nie wymyśliłem – czytałem o tym wczoraj w pewnym piśmie. Autor niegłupi. Było nawet zdjęcie sprawcy tego artykułu. Wyglądał bardzo przyzwoicie, takie ufne spojrzenie, usta inteligentnie zaciśnięte, może tylko brwi miał zbyt krzaczaste, ale ostatecznie to tylko – jak mi się wydaje – krytyk literacki. Sami pisarze też w końcu nie wyglądają najlepiej: tu gęba spuchnięta jak u Wilde’a, tam głowa jakaś zbyt duża, ten znów wygląda jak sprzedawca jarzyn, a temu znów oczy wystają z twarzy, jakby zobaczył grzechotnika. Przyjrzałem się wczoraj sobie w lustrze i widzę... Oo! Zostawiła torebkę. Oto problem. Znajomi chwalą mnie za dyskrecję. Czy mam potwierdzić tę opinię czy może z niej skorzystać? Potwierdzić oznacza nie zaglądać do torebki, a skorzystać – wywalić całą jej treść na stół i dowiedzieć się, kim faktycznie jest jedna z tych osób, które tak lubią mnie odwiedzać. No właśnie. *(po chwili)* Powiadasz, wywalić. Wiem – ty byś się nie zastanawiał. Ale ja mam swoje zasady: po prostu nie robię tego, czego bym sobie sam nie życzył, by ze mną robiono. Wiesz co, bracie, torebkę zostawimy w spokoju, a my zabierzemy się do pracy. Dawno

tu nie byłeś, to może nie wiesz, że pracuję nad powieścią. *(słysząc śmiech Mefista)* Czemu się śmiejesz, durniu? Mam pomysł, na który byś nigdy nie wpadł. Po prostu piszę o tym, jak się pisze. *(czyta)* Sami pisarze nie wyglądają najlepiej: tu gęba spuchnięta jak u Wilde'a, może dodam Oscara, tak, spuchnięta jak u Oscara Wilde'a, tam głowa jakaś zbyt duża, dodam: hydrocefaliczna, co się będę krępował, hy-dro-ce... – ten znów wygląda jak sprzedawca jarzyn... Jeszcze pół wieku temu sprzedawcy jarzyn wytoczyliby mi proces, ale dziś – kogo literatura obchodzi... O, wyszedł... Pewno coś knuje, taką ma profesję.

SCENA XIV

– *sibillino (tajemniczo)* –

(półmrok, przy stole tylko zapalona lampka. Siedzi przy niej Anna. Po chwili wstaje i porządkuje coś w papierach, chowa je do teczek. Rozgląda się wokół, patrzy na zegarek i na telefon)

(telefon)

ANNA *(odbiera telefon)* O, właśnie. Jestem tu od godziny. Przeglądałam wszystko. *(wzdycha)* On dopiero zaczął. Nie wiem, kto go wytypował, ale gdybym go nie znała, pomyślałabym, że jest to skończony dureń. Owszem, ma pewne zalety, postrzega wiele, doskonale rozeznaje się w życiu, w różnych jego tak zwanych kombinacjach, ale nie ma ikry. O talencie pisarskim właściwie nie ma mowy. Wiem, wiem, po co mi pan to mówi. Oczywiście, że i w tym stanie może coś napisać. Oczywiście, złożę panu dokładne sprawozdanie. Aha, tak, może tu przyjść. Mamy czas, jest dopiero siódma rano. Aha, wyszła przed kwadrans. To pewno zaraz tu będzie. Nie, nie znam jej, czy można na niej polegać, aha, można. Dobrze. Dobrze. Wie pan, że jeszcze nigdy was nie zawiodłam.

EWA *(wchodząc)* Dzień dobry. *(skonsternowana, patrzy długo na ANNE, ironicznie:)* Zdaje się, że my się już znamy. Ewa cztery.

ANNA *(witając się)* Anna osiem.

EWA *(rzeczowo)* Jesteśmy więc obie zainteresowane faktycznymi rezultatami jego pracy. Kiedy nie znałyśmy się od tej najistotniejszej strony, podchodziłyśmy jakby z dwóch róż-

nych pozycji, jedna z nas udawała, że nie wie nic o jego pisarstwie, druga natomiast udawała, że jest o jego ambicjach już dobrze poinformowana. Ja pracuję nad tą sprawą dłużej, więc może pani wyjaśnię. Komitet Ratowania Literatury, dla którego pani pracuje, wyznaje jedną zasadę: liczy się szybkość. To ona tworzy efekt. Nawet sprawniejsi od naszego delikwenta pisarze są ślamazarni.

ANNA (*wskazuje papiery*) Ten idiota zawsze najpierw stawia na rękopisie datę, więc można łatwo wnioskować, że produkuje mniej więcej dziesięć linijek tygodniowo. Wiemy, że nawet najmniejsza powieść musi się składać z co najmniej sześćdziesięciu tysięcy linijek, więc można sobie wyobrazić, że w tym tempie wykona pracę w ciągu kilku lat.

EWA Nie może go pani popędzać, ja obchodzę się z nim bardzo ostrożnie. Miałam już bardzo przykry incydent w zeszłym roku, młody, ambitny człowiek, nie mogąc na czas oddać manuskryptu, powiesił się.

ANNA No właśnie, powiesił się. A przecież z pewnością zachęcała go pani do pracy na wszystkie sposoby.

EWA Niestety, moje zainteresowanie jego pracą skłoniło go do wniosku, że jestem w nim bezgranicznie zakochana i...

ANNA Z tym będzie inaczej. To bardzo twardy egzemplarz. On chce pisać, ale jednocześnie – bydlak – wie, że może nie chcieć. Wie pani, co mi ostatnio powiedział? Na świecie najbardziej liczy się piłka nożna. Taki debil!

EWA Debil, ale dla nas przydatny. Gdzie pani znajdzie taki Mount Everest ambicji? To zasługa tego profesora. Młodzi chłopcy nie mają pojęcia o tym, co ich może zainteresować. Potencjalny paleontolog najwyższej próby interesuje się wyłącznie boksem, bo go wujek zaprowadził na trening. Zobaczył ring – i przestał myśleć.

ANNA A efekt jest taki, jak widzimy od lat.

EWA (*surowo*) Proszę wszystko poukładać tak, jak było. Nas tu nie było. Proszę nie rozgłaszać, że pani mnie zna.

(*wychodzą*)

SCENA XV

– *con insolenza (bezczelnie)* –

(ciemno, demoniczna muzyka, noc; ON siedzi przy lampce i pisze; muzyka cichnie – ON wstaje, przechadza się, zasiada przy stole)

ON Być pisarzem wymaga wielkiej odwagi. Dać się zabić na polu bitwy, stworzyć ideę, która uszczęśliwi innych, walczyć o wysokie stanowisko w administracji, poświęcić się nauce – na tym nie polega odwaga. Pisarz – powiada Kruppelbaum – każdym zdaniem nadstawia karku, a głównie dlatego, że pisze prawdę. *(do publiczności)* A, właśnie: czy państwo wiecie, kto to był Kruppelbaum, wielki autorytet w dziedzinie teorii powieści, zgadzam się z każdym jego zdaniem. On nie pieprzy o tym, że pisarz ma w powieści opisywać charaktery i namiętności, nie ustala, ile tysięcy słów ma mieć powieść, tylko powiada: pisarz ma pisać prawdę. A jak pisać prawdę? Pisać tylko o tym, czego się samemu doświadczyło, żadnych igraszek fantazji, żadnych kombinacji na temat ludzi, których się w życiu spotkało, tylko o tym, co najbliższe, co pisarzowi jest najlepiej znane. Więc piszę o sobie. Mało tego, piszę o tym, jak piszę. *(zjawia się cień Mefistofelesa)* O, proszę, przeczytam początek drugiego rozdziału. Być pisarzem wymaga wielkiej odwagi.

MEFISTO *(sam glos)* Skreśl to zdanie, jest głupie. Albo napisz tak: Jestem pisarzem, a to wymaga wielkiej odwagi.

ON *(z dystansem)* Tak pan myśli?

MEFISTO *(wciąż glos)* I nie wspominaj o Krüppelbaumie, to idiota.

ON Ale wszyscy go cenią. Wszyscy go zachwalają.

MEFISTO I ty też. Ale czy on ciebie zachwala? Nie. Więc po co masz mu w swoim wspaniałym tekście lizać niemyty zadek!

ON Ma pan rację, nie muszę go cytować, skoro on mnie nigdy nie cytował. Pan to ma łeb!

MEFISTO Nie zachwalaj mnie, bo ja ciebie też nie zachwalam. Odchodzę. Zjawię się dopiero wtedy, gdy będziesz na następnej stronie. *(znika w ciemności)*

SCENA XVI

– *infuriato (z furią)* –

(na scenie mrocznie; wchodzi ANNA – szuka na stole tekstu, przeszukuje różne aktówki, zastanawia się)
(niepostrzeżenie wchodzi EWA)

EWA *(po dłuższej chwili)* O, pani tu już jest! I co, znalazła paru coś?

ANNA Tylko kilka kartek. Jak u Kafki, wciąż ten sam akapit, minimalne zmiany. „Być pisarzem wymaga wielkiej odwagi”, skreślone, „Pisarzem być wielkiej odwagi wymaga”, okropne, na szczęście też skreślone. Nazwisko Krüppelbauma pisze kretyn przez trzy „pe”.

EWA To można poprawić, niech pani nie zawraca głowy detalami. Może pani nie wie, ale mój dziadek był wybitnym pisarzem, mogłabym sama pisać powieści, ale dziś od kobiet nikt niczego nie chce.

ANNA To wina tego idiotycznego ruchu kobiecego. Kobieca literatura, osobny dział, osobne grono czytelników, wielkie nakłady, osobne okładki... A teraz jakby odwrót od tego!

EWA Czy pani zauważyła, że zawsze, jak jest kryzys, następuje powrót. Jak w łóżku. Spałam sześć godzin na lewym boku, więc odwracam się na prawy i już jest lepiej. Teraz oczekuje się literatury wyłącznie od bardzo młodych durniów, obojętnie, co napiszą – zawsze jest to poezja czy proza młodych.

ANNA No to ten „nasz” powinien się pośpieszyć. *(dobitnie)* Nie będzie wiecznie młody.

(po drugiej stronie sceny krząta się Mefisto, przy małym stoliku; przeszukuje swoją dziwną torbę i mruczy pod nosem: „odwracam się na prawy i już jest lepiej...”; znajduje w torbie lekarstwa i połyka jakąś dużą pigułkę, mówi: „nie mam czym popić, udławię się...”)

ANNA Tu ktoś jest. Słyszę męski głos.

EWA Zdawało się pani.

MEFISTO *(w ciemności, do siebie)* Nie będzie wiecznie młody...

Jak zechcę, będzie wiecznie młody. Ale myśmy już z tym skończyli: precz z handlem wymiennym, niepotrzebne jest „coś za coś”, na francowate dusze dzisiejszych gnojków nikt z nas już nie poleci...

ANNA Pani Ewo, tu jednak ktoś jest. Jakiś mężczyzna.

EWA Skądże, nic takiego, ja chłopą wyczuję nawet na kilometr.

ANNA Ach, czyżby?

MEFISTO *(widać tylko twarz)* Przyszedłem tu, żeby odpocząć od ich dziadostwa. Usiadłem sobie z hamburgerem na ławce – od razu przyczepiła się do mnie grupa wyrostków. Bez namysłu jeden wskoczył na drugiego, a ten z całej siły przydepnął mi ogon. Powiedziałem grzecznie: w parku jest dużo wolnych ławek, a ja chcę zjeść waszego hamburgera. Waszego! – krzyknął ich przywódca i władczym ruchem polecił najmłodszemu z nich rzucić we mnie dwukilowy odważnik. Usunąłem się zręcznie i odważnik wylądował na przyrodzeniu tego, który stanął mi na ogon. Tegoż niesamowity ryk ułatwił mi wyzwolić się od niemiłego towarzystwa. Hamburgera kończyłem w księgarni, w której były tylko książki kucharskie i astrologiczne bzdurne idiotyzmy. *(znika)*

ANNA Słyszała pani? Powiedział wyraźnie: astrologiczne idiotyzmy...

EWA Tak? Nie wiem. Ktoś za ścianą zachwalał książki kucharskie, to słyszałam. Ludzie teraz rozmawiają tak głośno... *(cisza)* Słyszałam, że w naszych czasach najwyższy współczynnik inteligencji wykazał pewien piosenkarz.

ANNA To jest możliwe. Jeżeli można dziś wylansować podły kawalek w szmatławym splagiowanym na dziesiąty bok wykonaniu, to dlaczego nie można ogłupionej klienteli wmówić, że nasz aktualny idol ma doktoraty z filozofii i filologii arabskiej? *(wchodzi ON)*

ON A propos, właśnie zdałem egzamin końcowy z filozofii. Czy panie uwierzą, że profesor nie wiedział, kto to był Heidegger?

ANNA i EWA *(razem)* Z łatwością.

EWA *(szybko)* Pan wie, że dziś trudno o personel.

ANNA A jak z gramatyką arabską?

ON *(sucho)* A na kija mi ona. Piszę powieść i nie mam czasu na studiowanie idiotyzmów. Pytania z filozofii były proste, wylosowałem numer trzeci. Pierwsze pytanie brzmiało: czy Napoleon należy do szkoły wiedeńskiej, a drugie: kto żył przed kim – Kartezjusz przed Sokratesem, czy odwrotnie. Przy pierwszym odpowiedziałem, że należy i jakoś mi to uszło na sucho. Byłem mokry, kiedy dowiedziałem się od czekającego na egzamin okularnika, że nie należy.

EWA *(ordynarnie)* Co z powieścią? ON Robi się.

ANNA Gówno prawda. W ciągu paru miesięcy kilka pomazanych stron.

EWA Mamy w sejfie świetny tekst młodej autorki, która popełniła samobójstwo. Bierze pan?

ON Pewnie, że tak. Raka mózgu dostanę, jak tak dalej pójdzie. Pod presją pisanie idzie mi ciężko.

EWA Gdzie tu mowa o presji? Obie pana lubimy i chcemy, żeby się panu powiodło, czy to coś złego?

ON A o czym ona pisze? Czy to ktoś zna?

EWA Nikt nie zna. Szef wie i gwarantuje, że coś w tym jest. Ona nie pisze jakiejś bzdurnej historii, tylko opowiada o młodym człowieku, który w naszych czasach absolutnego braku zainteresowania literaturą w czasach wręcz pogardy dla wysiłku twórczego, postanawia napisać wielką powieść, niesłuchanie aktualną, wziętą z życia, opowiedzianą w najzwyczajniejszy sposób, może zbyt obfitującą w sceny brutalne, aż się dziwię, że kobieta, w dodatku inteligentna i atrakcyjna, potrafiła zdo-

być się na tak realistyczny przekaz życia w naszych czasach. W scenach obscenicznych przeważają takie słowa, jak: skurwiel, spierdalaj, a niech-cie pies zjebie i powiedzonka typu: hulasz, hulasz, a skończysz jak gulasz; ale to da się zastąpić mniej odrażającymi synonimami. Bierze pan?

ON Bierę. To znaczy: biorę.

EWA Bardzo rozsądna decyzja, bo rzecz jest niezwykle mądra.

W sceny w najwyższym stopniu chamskie autorka inkrustuje powabną problematykę pisarstwa. Oto na przykład w rozmowie z pisarzem młody intelektualista zapytuje go – pisarza – o niesłuchanie istotne zagadnienia z obrębu metody pisarskiej lub z zakresu eksperymentu literackiego i między nimi wywiązuje się dyskusja, którą nawet najgłupszy czytelnik będzie chłonał z wypiekami na twarzy. On – przerażony i zdziwiony oddala się na chwilę.

ANNA (*cicho, ale wyraźnie*) Czy pani nie przesadza?

EWA Zamknij się, kretynko! Tu się rozstrzygają losy literatury, każdy chwyt jest dobry.

ON (*powracając do obu pań*) No dobra, ale te obrzydliwe wyrazy musi ktoś usunąć. Ja nie mogę akceptować chamstwa, to znaczy mogę, ale nie jako pisarz. Pomiedzy teksty tej samobójczej gnidy powciskam swoje przemyślenia, jeśli nie będą na poziomie, sam je poskreślam, choć na ogół jestem bardzo przywiązany do mojego tekstu. Ona, ta babka, to znaczy atrakcyjna i inteligentna kobieta, mam nadzieję, nie pisze niczego w pierwszej osobie, co? Bo wtedy może wyskoczyć coś takiego, na co dość często natrafiam w nowej literaturze, naturalnie pisanej przez mężczyzn, bo kobiety w literaturze to zera. Bo na przykład pojawia się zdanie – a mówi to pisarz: miałabym ochotę na co mocniejszego. Kawy nie piłabym, chociaż jestem zaspana. Od razu widać, że temu bucowi podsunęto fragment tekstu jakiejś baby. (*po chwili*)

Czy ona opisuje przyrodę? Bardzo tego nie lubię. Jeszcze nie widziałem tekstu, ale od razu skreślam takie akapity, tym się czytelnika nie bierze. Mnie interesuje człowiek, a przede wszystkim człowiek twórczy.

ANNA (*chce coś powiedzieć*) Ale...

ON Pani powinna pójść do domu. Ja nie lubię świadków. Przy ważnych transakcjach świadkowie są niepożądani.

EWA A co pani chciała powiedzieć?

ANNA E, nic, nic.

EWA To może pani zostać. (*do NIEGO*) Ona jest we wszystko wtajemniczona. Zresztą już idziemy. Materiały otrzyma pan jeszcze dziś po południu. Czy mogę liczyć na to, że za kilka tygodni powieść będzie gotowa?

ON Postaram się.

ANNA (*przymilnie*) Niech się pan postara.

ON Lubię panią. Ale morda w kubel!

ANNA (*do EWY*) Co to znaczy?

EWA Prosi, by pani milczała. (*wychodzą; słychać jeszcze głos EWY: „Gdzie się pani chowała, w klasztorze?”*)

SCENA XVII

– *sarcastico (sarkastycznie)* –

(na scenie ciemno; przejmująca, powolna muzyka; oświetlony jest ON – przerzuca stos kartek, stęka przy tym; po jakimś czasie widoczna jest sylwetka Mefista)

ON Trudno się w tym połapać. Pierwszy rozdział jest prosty, sam go napisałem i wiem, o co w nim chodzi. Ale w drugim natrafiłem na jakieś niepotrzebne dywagacje, których pie-przonej natury nigdy nie będę mógł zgłębić. To jest wpływ jej tekstu, tej mądrali, która niepotrzebnie pisze tak zawile, że nie wiadomo, o co jej chodzi.

MEFISTO *(spokojnie, niskim barytonem)* Chodzi jej o to, że nie można wyłącznie mówić o sobie.

ON *(zupełnie spokojnie, jakby rozmawiał z przyjacielem)* Dlaczego nie można? Zauważyłeś chyba, że pisanie szło mi łatwo. Ktoś twierdzi, że pisarz powinien wybrać jeden temat, ale taki, który go zachwyca, a który może opanować. Kiedy piszę, skąd mogę wiedzieć, czy zdołam opanować temat? Mój temat jest dobry, każdy to przyzna. Ale dopiero w pisaniu może się okazać, czy panuję nad nim. Ten idiota, którego ta maniaczka podsunęła mi w drugim rozdziale, nie jest głupi: kiedy się jego tezę przełoży na normalny język, wychodzi na to, że nie należy pisać o tym, o czym się nie ma pojęcia. Ale to truizm. A ja nie chciałbym, by do mojej powieści wkradły się truizmy, sądy utarte, wyświechtane. Moja powieść musi lśnić pełnym blaskiem *pracy mózgowej* autora. O, to jest dobre zdanie.

MEFISTO Tak, to świetne zdanie.

ON Dam to zdanie na początek drugiego rozdziału, a potem poleci to wszystko, co ten buc napisał. Tylko, że ta pluskwa wciąż używa żeńskiej gramatyki: miałam, chciałam, brałam, skłamałam, a ja to wszystko muszę poprawiać. Mógłbym to dać komuś do przerobienia, ale wszystko wyjdzie na jaw. Więc muszę sam poprawiać. A przecież każdy autor wie doskonale, że poprawianie tekstu to praca o wiele żmudniejsza, niż pisanie. Czytałem gdzieś u dentysty, że Balzak lubił przerabiać swoje teksty na nowo. Głupi Balzak skreślił przepiękną partię, która wyszła mu jak gol w kącie bramki, a na to miejsce wlepił wyjątkowe gówno. To ty mu podszeptasz te poprawki?

MEFISTO Możliwe. Nie przypominam sobie. Mam słabą pamięć. Najważniejsze sprawy supłam sobie na ogrome, ale i to nie pomaga.

ON Widzę, że i ty masz problemy.

MEFISTO: Powiedziałbym raczej: miewam. Z tobą na przykład idzie mi gładko. (*przeciąga się*) Czuję się, jak na urlopie. Przejdę się trochę po mieście. Może nawet zjem hamburgera. I wrócę tu. (*wychodzi*)

(*telefon*)

ON (*po chamsku*) Które to bydlę zabiera mi mój cenny czas poranny? (*ordynarnie*) No! Słucham! /-/ A, to pan, panie profesorze. /-/ Tak, ale dlaczego pan dzwoni rano; pan wie, że rano piszę i że nie wolno mi przeszkadzać. /-/ Co? Żona panu zmarła? Żartuje pan! To bardzo porządna kobieta Niech ją pan ode mnie pozdrowi. Ja wracam do pracy, właśnie bardzo dobrze mi idzie. (*szybko*) Do usłyszenia. Ten, kto wynalazł telefon, powinien się w piekle smażyć. O ile to możliwe, na starym maśle. (*śmieje się idiotycznie*)

SCENA XVIII

– *fanatico (fanatycznie)* –

(ON siedzi przy stole i duma; na scenie mrok, oświetlony jest tylko stół; ON wstaje z kartką papieru, przygląda się tekstowi, jakby to nie był jego własny, wreszcie drze papier, szybko podchodzi do stołu, zasiada do pisania i sam sobie dyktuje)

ON Podarłem już około trzysta arkuszy papieru. Pisarz musi, no właśnie: co musi, musi przezwyciężyć strach, że to, co napisał, ktoś potem przeczyta, musi, tak, dobrze, musi pisać jakby dla siebie. *(po chwili)* Ale co zrobić, kiedy się nie ma nic do powiedzenia... Nie wiem.

MEFISTO *(stoi w cieniu, oddalony, ale mówi tak wyraźnie, jakby stał przy piszącym)* Nie, bratku. Źle się zabierasz do roboty. Szukasz ideału, doskonałości, piszesz i ciągle myślisz, co o tym będą sądzić inni. Pomyśl, że świat jest mały i liczy tyle mieszkańców, co Oberuntersdorf, co Przecieranka Dolna, w której się urodziłeś. Świat to kupa durnych analfabetów, co jeden to kretyn, a ty jesteś jedynym pisarzem, ty jeden coś potrafisz, więc nie łazisz po pokoju jak byle Goethe, nie zastanawiasz się nad słowami, tylko walisz wprost.

ON Co znaczy walisz wprost, bo nie rozumiem.

MEFISTO Przejdź się w stronę okna, a ja usiądę przy stole i pokażę ci, jak się pisze. Czeka, co ty właściwie piszesz? Dziennik?

ON Powieść. Przeczytałem esej o Flaubercie i pomyślałem sobie, że nie tylko mógłbym napisać coś takiego jak ten

Flaubert, ale lepiej, bo stać mnie na to, i szybciej, bo ten debil siedział nad jedną powieścią dziewięć lat.

MEFISTO Wiem, o czym mówisz. Siedem lat, nie dziewięć. Masz dane po temu, by być wielkim pisarzem, bo nikt ci nie imponuje. To już jest coś! *(po dłuższej chwili)* Co to ja chciałem powiedzieć? No, właśnie. Dzisiejszy człowiek, a jutrzejszy tym bardziej, nie potrafi się skupić, nawet jeśli coś czyta, nie wie, o czym to jest i czego chce od niego autor. A ty pokaż, że ten problem rozwiązujesz w sposób mistrzowski. Nie udawaj prostoty, bo to zrobili już przed tobą inni, tylko **uprawiaj ją**. Istnieje doskonałość prostoty. A tera żyto – powiada do sąsiada prosty chłop. A znaczy to: nastala pora, drogi sąsiedzie, byśmy się zabrali ochoczo do zajęcia pod siew znanego nam obszaru pola, to znaczy obsiali owo pole. Mocno jebie? – pyta student kolegę, przez co obaj rozumieją, iż chodzi tu o uczciwego w swoim fachu, lecz bezwzględne profesora, zamęczającego młodzież pytaniami, na które trudno odpowiedzieć, nawet gdy się kuło materiał nocami za pomocą czasowo zwielokrotnionej energii i długiej serii mocnej czarnej kawy, po której co jakiś czas pojawiają się u młodego człowieka silne odruchy wymiotne.

ON Nie studiowałem, ale wiem coś o tym.

MEFISTO *(spokojnie)* Istnieje więc doskonałość prostoty. Wyobraż sobie ludzi zwykłych...

ON Wyobrażam sobie, są na widowni i stanowią...

MEFISTO Nie przerywaj mi, jeśli chcesz się czegoś nauczyć. Przecież jeszcze przed kilkoma minutami jęczałeś, jak najgorszy impotent, zaraz, jak to było? „Ale co robić, kiedy się sobie nie ma nic do powiedzenia?” Porzygać się można. *(po chwili)* Chcesz, żebym mówił, czy będziesz mi wciąż przerywał?

ON Mów.

MEFISTO O, to jest dobre zdanie. Krótkie, lapidarne, jedno słowo, a powiedziałeś wszystko. A zatem naiwność i bezpośredniość! I mylisz wszystkie tropy. Pisziesz: Chyba nie potrafię pisać – i tym zyskujesz sympatię tłumy, który – jeśli by

się nad takim problemem zastanawiał czułby to samo. Ale potem z całą właściwą ci bezczelnością umieszczasz to zdanie na początku rozdziału.

ON No nie wiem...

MEFISTO Umieszczasz to zdanie na początku rozdziału i zaraz po kropce wyjeżdżasz z następnym – mocnym i bezpośrednim. Piszesz: „Pisać potrafił tylko Ernst Junger.” Wpędzasz czytelnika-chama w kompleksy, bo nikt nie wie, kto to był Ernst Junger. (*do publiczności, a ściślej – do kogoś określonego*) Co pan podszeptuje, że nie było takiego! Wspaniały, znakomity stylista! (*do NIEGO*) Naiwność i bezpośredniość, naiwność dziecka i chamska, dojrzała bezpośredniość... (*po chwili*) Co to ja chciałem powiedzieć? Aha. Chciałem ci pokazać, jak się pisze. Świat – może to zauważyłeś – świat ordynarnieje. Ty jesteś zarozumiałym bydlakiem, więc pisz tak, jak się będzie za kilka lat pisało. Masz po temu dane. Więc kładziesz se pod tyłek poduchę, bo wiesz, że będziesz pisał kilka godzin i walisz z grubej rury. O – na przykład tak. (*głośno*) Syfilityczni pisarze francuscy, którym przewodził niejaki Flaubert, impotent wysokiej klasy, który daremnie pocił się nad każdym zdaniem, zamęczali czytelników opisaniami przyrody i stanami ducha swoich bohaterów. Przyrodę należy zostawić w spokoju, bo przyroda ginie, a nikomu ni przyjdzie do głowy, że owe wyschnięte gałązki, które widzi za oknem, były kiedyś bujnymi drzewami, w pomyślniejszych przypadkach nawet rodzącymi owoce. Stany ducha bohaterów są nieciekawe i wyblakłe, a ich opis jest dziś wysoce niestrawny. Może dlatego, że bohaterami byli sami pisarze. Ten miał się za nie wiadomo kogo, więc żwawo bredził o swojej wielkości. Inny znów podle wykańczał innych, przedstawiając ich w aluzyjnie wynaturzonej karykaturze, jeszcze innemu zdawało się, że go niebiosy zesłały na ziemię, by ukazać cierpienie narodu, a przede wszystkim własne usrane cierpienie. Literaci stali się zakałą ludzkości. Coś się komuś nie podobało – chwycił za pióro i dalejże dźgać wroga idiotycznymi argumentami, krytyką dzieła i osoby. Z namięt-

na pasją bronił taki dureń swoich racji, choć nie były one warte funta kłaków.

ON Funta kłaków. Zapisałem.

MEFISTO Nie przerywaj, durniu, tylko pisz. Kiedy im nie szła robota, przeistaczali się w dziennikarzy i stawali w obronie pokrzywdzonych, zyskując sobie aplauz motłochu.

ON Aplauz motłochu.

MEFISTO Żebyś wiedział, aplauz motłochu. Motłoch czytelnicy łykał te świństwa i wmawiał sobie, że w ten sposób staje się inteligentny. Wkrótce mianem inteligencji poczęto określać chamską złośliwość. Flaubert, Balzak i Zola krytykowali swoją epokę. Może było im to potrzebne, ale my tej epoki nie znamy i jej charakterystyka nie jest nam potrzebna. U Balzaka, z przeproszeniem, kobieta trzydziestoletnia jest dziwologiem, a finansowe kombinacje jego bohaterów są dziś tak bezsensowne, że kiedy o nich czytamy, chce nam się rzygać.

ON Wolałbym: robi się nam niedobrze. *(po chwili)* To dobry pomysł: skrytykować całą dotychczasową literaturę, ostro, bezwzględnie, z góry, nawet po chamsku, a co! Ale jest jeden problem: trzeba coś o nich wiedzieć, trzeba ich przeczytać. A ja nie chcę czytać. Chcę pisać! *(w natchnieniu)* Moje zdania będą naprawdę proste. Był taki pisarz, Anglik czy Amerykanin, pisał proste zdania, był zdaje się rybakiem z zawodu, heminglej czy jakoś tak się nazywał, u niego zdanie miało pięć-sześć słów. Nie pisał: – jak to było? – *(śmieje się)* „były kiedyś bujnymi drzewami, w pomyślniejszych momentach nawet rodzącymi owoce”, tylko: „były bujne jak myśli młodego Araba” – sześć słów i wystarczy, wrażenie jest.

MEFISTO No, niby jest. Czy ja wiem? O, kurczę, zgłodniałem.

ON Tu naprzeciw jest piceryjka. Niech pan se zamówi **picce** alla diavolo. Albo **kładro stadżioni**. A ja wezmę się do pisania. Krótkimi zdaniami skrytykuję całą dotychczasową literaturę i napiszę coś dla następnego wieku. *(gwałtowna muzyka, niezwykle głośna, słychać tylko krzyk)* Czuję w sobie wielką

moc! Skrytykuję wszystkich! Krótkie zdania! Jak czołg prze-
jadę się po nich. Niech wiedzą, co znaczy pisarz, co znaczy
potęga pióra!

*(gra światel podczas tych ekscesów, światła jasne i ciemne, nawet
kolory; w ciemności znika ON, muzyka cichnie, mimo że nadal
jest gwałtowna i pełna temperamentu)*

SCENA XIX

– *gaio (radośnie)* –

(na boku sceny – właśnie ta część nie jest zbyt jasno oświetlona, panuje tu półmrok. Jakieś zagubione, małe światło pana na kotarę. Z dwu różnych stron nadchodzą jednocześnie EWA i MEFISTO – elegant, ale z ogonem)

MEFISTO Oo, dobrze, że panią widzę. Mam do pani prośbę...

EWA Od mojego pierwszego zawodu miłosnego nie spełniam żadnych próśb, mówię to panu od razu, żeby pan nie miał żadnych złudzeń.

MEFISTO *(śmieje się – demonicznie i głupio jednocześnie)*

Ha-ha-ha! Jakie miałbym mieć złudzenia! Ja! *(śmieje się)* To wy tu, biedacy, macie złudzenia, żywicie się nimi jak ptaszki robakami. Czy pani wie, co mi powiedział ostatnio pewien zapoznany malarz: nikt się moimi obrazami nie interesuje, ale za dwieście lat będą sobie je wydzierali z rąk, będą opisywali każdy ich szczegół, będą płacili najwyższe ceny! I zapytał mnie delikatnie, czy nie mógłbym mu wypłacić jakąś zaliczkę a conto jego przyszłych dochodów.

EWA I co mu pan powiedział?

MEFISTO Że szef, posłałby mnie do wszystkich diabłów, gdybym z naszych, wciąż malejących, funduszy zaczął wypłacać byle komu. Obraził się na mnie, oznajmił mi, że jeszcze nikt nie odważył się go tak określić i – ponieważ był ordynarny wyrażnie ponad potrzeby swego fachu – powiedział mi, że... nie mogę pani tego powtórzyć...

EWA Niece, co tam, wal pan. Nam, kobietom, wciąż kładą do uszu różne chamskie świństwa.

MEFISTO Powiedział mi, że mam obsrany ogon. *(niemal z płaczem)* Wszyscy czepiacie się mojego ogona... Pani też: zamiast patrzeć mi w twarz, zatrzymuje pani swoją uwagę na moim ogonie. *(z idiotyczną rozpaczą)* Nienawidzę pani! Nienawidzę!!!

(spokojnie) To może ja już sobie pójdę.

(MEFISTO wychodzi)

EWA *(w zadumie)* Zaraz, po co ja tu przyszedłam? Muszę wrócić na przystanek, na którym wysiadłam, wtedy sobie przypomnę.
(wychodzi)

SCENA XX

– *contristato (ze smutkiem)* –

(cicha, spokojna muzyka)

ON *(siedzi spokojnie za stołem i czyta gazetę – komentuje:)* Nasi znów odpadli w eliminacjach. Prasa angielska podała, że byli najgorsi. Ktoś musi być najgorszy. *(wstaje)* Jak to dobrze, że wtedy tak szybko udało mi się ukończyć moją powieść. Chwileczkę, mogłem dać to zdanie na zakończenie książki i dodać jeszcze coś miłego na koniec, na przykład: „a wszystko to zawdzięczam mojemu ukochanemu profesorowi...”

(pojawia się MEFISTO – cień Mefista, mało widoczny)

MEFISTO No jak, zadowolony? Słyszałem...

ON Gównie żeś słyszał. *(cisza)* No, co słyszałeś?

MEFISTO Słyszałem, że twoja książka ma wielkie powodzenie w północnej Europie i w Emiratach. W Stanach Zjednoczonych od razu była druga na liście, zaraz po wspomnieniach tego prezydenta, który handlował narkotykami.

ON Niemożliwe!

MEFISTO *(śmiejąc się)* No mówię ci – narkotykami! W Ameryce wszystko jest możliwe.

ON Kretyn! Niemożliwe, żeby w Stanach moja książka była na liście, skoro u nas jeszcze nie wyszła.

MEFISTO Sameś kretyn. Jesteś usranym pisarzem, to nie wiesz, co z książkami robią żwawi wydawcy. Wywłachali w twojej głównianej powieści świetny interes, w dwie noce zrobili tłumaczenie i książka jest już w sprzedaży, nawet w Ohio, w najgorszych dziurach Ameryki.

ON To dlaczego mnie, autorowi, nic się o tym nie mówi?

MEFISTO Mówi się. Przecież słyszałeś w radio – w Barcelonie pokonałeś katalońskich powieściopisarzy z kretelem. Jeden to się nawet powiesił. Wiesz, Hiszpanie mają jebańca na punkcie honoru. Powiesił się, jak ta twoja autorka.

ON (*przestraszony*) Jaka moja autorka?

MEFISTO (*ze śmiechem*) No ta, co ją tak mozolnie poprawiałeś.

ON To jakieś obrzydliwe plotki. Kalumnie. Jako pisarz nie miałem czasu poprawiać komukolwiek czegokolwiek.

MEFISTO To nie są plotki. O twoim procederze pisarskim wiem tylko ja i ta pluskwa, która ci te wypociny z sejfu szefa podrzuciła. Na pocieszenie powiem ci, że znany krytyk niemiecki podkreślił, że twoja książka zaczyna się od genialnego ujęcia niemocy współczesnego pisarza. Wiesz, jak ten parzywiec zakończył wywody na twój temat? „Chciałbym być autorem takiej książki!” tak skurczybyk napisał. (*cisza*) Jesteś wielki, mój mały.

(*wchodzi ANNA*)

ANNA O, widzę, że czyta pan gazetę! Czyżby pan zrobił przerwę w swojej pracy twórczej? (*słychać śmiech Mefista*) czy może – o Boże – nie mogę w to uwierzyć ukończył pan swoje dzieło!

ON (*spokojnie*) Myła pani głowę tym zachwalanym szampodem, jedzie od pani aż tu.

ANNA Pan potrafi przeniknąć najgłębsze tajemnice kobiet! Ale co tu tak czuć spalenizną? Czy coś się przypala? MEFISTO (*niskim głosem*) Powinienem rzucić palenie...

ANNA (*do NIEGO*) Przecież pan nie pali, więc co ma pan rzucać?

ON (*sucho*) Dlaczego, u diabła, wtrąca się pani w moje życie prywatne? Co ja, pisarz, mogę obchodzić prostą kobietę, która o tej porze powinna zmywać naczynia?

ANNA (*cicho*) Przepraszam, to może dlatego, że nie lubię palaczy. Przyjdę, jak pan będzie spokojniejszy.

(*wychodzi*)

ON (*krzyczy za ANNA*) Nie będę spokojniejszy! Pani wie, co się
teraz dzieje w mojej duszy, jakie rozdwojenie... (*spokojnie*)
To mówisz, że nawet w Ohio... Ale jak się tak zastanowić..
Nasze czasy nie są złe. Dobra powieść zawsze wypłynie
z oceanu gówna, które wypisują ambitni impotenci.
MEFISTO Dobrześ to, bracie, ujął. Taka jest prawda. Cześć...
ON (*niedbale*) Haj!

SCENA XXI

– *appassionatamente (namiętnie, z pasją)* –

(na scenie ciemno; krótka fraza muzyczna; wchodzi EWA, dyskretnie podchodzi do telefonu, wybiera numer)

EWA Poproszę pana prokuratora do spraw autorskich. /-/ Tak, czekam. Dzień dobry, mówił pan, żeby do pana zadzwoniła, właśnie mam okazję. Chodzi o plagiat. Moją książką, która wyszła w małym nakładzie, ale z nieodzownym copyrightem, posłużył się pewien nieznany nikomu jegomość, o którym wiadomo było tylko w naszych kręgach, że ma ogromne ambicje pisarskie. /-/ Ach, pan wie, o kogo chodzi, no właśnie. Plagiat jest niemal stuprocentowy, tylko pierwszy niezdarny rozdziałek, może jakie trzy strony pochodzą od tego śmierzdziela, reszta jest przepisana żywcem z mojej książki, w takim samym porządku rozdziałów, ta menda zadała sobie tylko niewielki trud zamienienia formy żeńskiej na męską. /-/ Powiada pan, że zajmie się tą sprawą Mój doradca prawny twierdzi, że odszkodowanie jest pewne i że chodzi tu o niewyobrażalnie wielką sumę, gdyż książka tego indywiduum stała się bestsellerem. /-/ Dziękuję, wierzę, że pan jak nasurowiej potraktuje tę sprawę. W ciągu tygodnia, może w ciągu dwóch, bo chciałabym na rozprawę zaprosić gości z całego świata, nawet z Ohio, gdzie – w Pittsburghu bibliotekę miejską nazwano już imieniem naszego plagiatora. /-/ Pittsburgh, Pittsburgh, nie: Picburg, nie przez „ce”, nie jak pic na wodę, tylko Pitt, od Williama Pitta Młodszego, który, jak panu zapewne wiadomo, wzmocnił potęgę kolonialną Anglii. /-/

Tak, casus Szołochowa! O, widzę, że pan prokurator jest świetnie zorientowany w materii literackiej! Do widzenia! Liczę na pana! I będę panu niezmiernie, niezmiernie wdzięczna.

(wchodzi ON)

ON Komu pani ma być niezmiernie wdzięczna, chciałbym to wiedzieć.

EWA *(zmieszana)* Ach, nie, chodzi o drobiazg, nic takiego. Znajomy...

ON Składała się pani przed rozmówcą jak scyzoryk i będzie mi pani głupio wmawiała, że to nic takiego... Jestem pisarzem i umiem wyciągać wnioski z obserwacji. Wiem, że tu coś śmierdzi... *(klamliwie)* Ja bardzo liczę na to, że moja książka okaże się bestsellerem. Inaczej bym jej nie pisał.

EWA Ja już muszę iść.

ON Nie odpowiedziała mi pani na moje pytanie. Do kogo i w jakiej materii dzwoniła pani w takim zdenerwowaniu, że aż giry pani drżały jak u syfilitycznego konia, no – do kogo? *(atakuje EWE)* Do kogo, pytam grzecznie? Kto jest facetem świetnie zorientowanym w materii literackiej i kto to jest ten francuz Szołochow, odpowiesz, suko, czy mam cię pięknie – na swój sposób – poprosić...

EWA Wykręca mi pan rękę...

ON Nic innego nie zamierzałem.

EWA To boli...

ON Ma boleć. Tak mi wykręcał rękę goryl z restauracji z pięcioma gwiazdkami, kiedy mnie z niej wyrzucał. Potem szarpnął mną tak fachowo, że jebnąłem głową w słup. Po co ci te francowate bransolety na rękę? Widzisz, suko, przerznąłaś mi żyłę! I to na prawej ręce. Na tej, którą się pisze! *(osadza EWE na podłodze z całą siłą obu rąk)* Siedź tu i czekaj na mnie. Muszę się odlać.

(wychodzi)

(EWA wstaje i szybko wybiega z pokoju; słychać głos: „Zaraz pomogę pani wstać. Zawsze byłem dżentelmenem.”)

SCENA XXII

– *sognante (śniąc)* –

(wchodzi ANNA, ubrana skromnie; muzyka cicha, miejscami przejmująca – płynie w ciągu całej sceny)

(ANNA wyjmuje z torby pled, kładzie go pośrodku sceny, siada na nim i opowiada – zwraca się do świata, do publiczności)

ANNA Najdziwniejszą rzeczą w życiu człowieka jest sen. Vita somnium breve, tak zatytułowała jedno ze swoich najpiękniejszych opowiadań Ricarda Huch. Życie to krótki sen, a może lepiej: życie to tylko krótki sen. Zapytałam Jego kiedyś, czy zna Ricardę Huch, ale On odpowiedział mi tylko lapidarnie, jak to w jego stylu, kiedy nie ma ochoty na rozmowę, bo jest zajęty swoim pisarstwem, odpowiedział mi: nie znam osoby. Huch pierwsze słyszę, dodał. Gienek, jego kolega jeszcze ze szkoły, powiedział, ma już od rana, po umyciu zębów, z reguły niedobry huch. /-/ Vita somnium breve. Czasem śni mi się *(ANNA kładzie się wolno na pledzie i mówi odtąd leżąc)* – że zamieszkałam w jakimś wielkim domu, nie umeblowanym, z oknami, które dają bardzo nikłe światło, o, takie, jak teraz *(tu światło gaśnie pomału)* i weszłam do wielkiego pokoju, zaniepokojona jak teraz na scenie, na której gram, zastanawiam się, kim właściwie jestem. Jestem sobą i – nikim. Boję się wszystkiego, tej przestrzeni, tej ciemności, postaci w niej majaczących, a jednocześnie oglądałam to widowisko z zupełną obojętnością, gdyż wiem, że to nie mnie, lecz tej śpiącej osobie zdarza się to wszystko. *(na*

scenie pojawiają się kontury JEGO i MEFISTA, którego ANNA nigdy nie widziała, z którym – w przeciwieństwie do NIEGO nigdy nie rozmawiała) We śnie podchodzę do mających w ciemności postaci i zapytuję je, czego sobie życzą. (ANNA wstała i mówi) Czego panowie sobie życzą? Co panów do mnie sprowadza?

ON Nie, my tylko tak, rozejrzeć się. Ładnie tu u pani. /-/ Nie wiedziałem, że w czyścicu jest tyle przestrzeni, wyobrażałem sobie to lokum jako taki, kurcze, wąski przedpokój sto dwadzieścia metrów na półtora, w którym ciśnie się bractwo, że nawet przykucnąć nie można, a tu – tyle miejsca, czyżby świat wyludnił się do tego stopnia? Ja panią skądś znam. Czy to nie pani przychodziła do mnie, by się dowiedzieć, jak idzie praca?

(tymczasem ANNA kładzie się ponownie na pledzie i – nie zwracając uwagi na NIEGO mówi:)

ANNA Sny pochodzą od Boga, powiada ustami Daniela Schiller, w pierwszej scenie piątego aktu *Zbójców*.

ON Co to są zbójcy?

MEFISTO Żebym to ja wiedział, no – takie rabusie, przeważnie w lesie.

ON Ty, zapytaj ją, czy ona to śni, czy ma to na jawie.

MEFISTO Sam zapytaj! (oddala się na chwilę)

ANNA Więc co panów do mnie sprowadza?

MEFISTO Wstąpiliśmy tu tylko przejazdem, on chciał zobaczyć, jak pani leci. On nie leci na panią, ale zdaje mi się, że jest pani wdzięczny, bo kiedy pisał swoją powieść, pani mu nie dokuczała, przeciwnie: dodawała mu pani otuchy, chwaliła go, choć nie było za co, bo to miernota najwyższej próby. Ale teraz jest sławny i ma panią w dupie. Widzisz, mała, niby to przyszedł panią odwiedzić, a łązi po pomieszczeniu, sprawdza okna, czy szczelne, po prostu debil. Łatwo było go omotać, bo ambitny i samolubny. Z panią miałbym trudności.

ANNA O jakich trudnościach pan mówi... W ogóle nie wiem, co pan mówi i kim pan jest. Położę się i będę śniła dalej.

MEFISTO Przecież pani śni! (*do NIEGO*) No co, stary, idziemy. Nic tu po nas.

ON (*z hukiem, niezrozumiale*) Abada-dudu, łyły, amprio-dam-duba. (*rzeczowo*) Chodź, co stoisz. Pod oknem jest pusta walizka, weź ją, przyda się.

(*znikają w ciemności; muzyka*)

SCENA XXIII

– *con patimento (z bólem)* –

(ON siedzi przy stole w oczekiwaniu na telefon)

(telefon – ON podnosi słuchawkę – nic, więc zaczyna chodzić po pokoju)

ON To już trzeci telefon. Podchodzę, biorę słuchawkę i – nic.

(telefon)

ON Słucham. /-/ Jes, jes ajem hir. Toronto, jes, aj anderstend, juniwersiti, aj anderstend: dakter honoris kał-za, aj mast not hał macz du ju pej. /-/ nating? To ja sram na wasz doktorat, powiedz to rektorowi! Powinien mi to dać, kiedy pisałem, nie teraz, kiedy jestem sławny!

GŁOS ANIOŁA – ANNY Jesteś sławny, więc zdobądź się na pokorę.

ON Tu ktoś jest! Teraz mi nie dadzą spokoju, prosiłem o goryli, dlaczego mam się denerwować, że ktoś bez pardonu włązi do mojej pisarskiej celi? Jak pani taka mądra, to niech mi pani to załatwi, ale szybko.

ANIOŁ To nie jest w mojej gestii. Ja mam ci tylko pomóc zostać dobrym człowiekiem.

ON A na kija mi to! Kto tu na świecie jest dobry, pokaż mi takiego! Świat jest zaludniony wyłącznie przez skurwysynów i biedaków, którzy z głodu nie mają siły, żeby obalić haniebnych buców, które tu tera rządzą.

ANIOŁ *(spokojnie)* Obracałeś się w niewłaściwym środowisku, więc twój obraz świata pesymizmem się charakteryzuje.

ON Ty! A skąd ty wzięłaś taki dziwny język? Ja używałem słowa ce-chuje, ale mój przyjaciel Mefisto (*nagły krzyk Aniola: O!*), mój przyjaciel odradził mi posługiwać się tym słowem, bo po sylabie ce – następuje brzydka liczba mnoga. Prawił mi onże, iż jego zmysł estetyczny w wysławianiu się takich przypadków nie honoruje; tak się, francuz, wyraził. (*cisza*)

ANIOŁ Zadzwoń do profesora!

ON A po kija! Jesteś dobrze w materii zorientowana, to wiesz, że to bydlę naumyślnie namawiało nas, byśmy zostali pisarzami, wiedział, cham jeden, że w naszym gronie nikt nie miał najmniejszych szans, bo i jak; ale się, bydlak, naciął, bo ja pokazałem światu, co może młody adept sztuki pisarskiej, że może wznieść się na takie wyżyny, o których się staremu ramolowi nawet nie śniło.

ANIOŁ Prosiłam cię o więcej pokory.

ON Skąd ty się wzięłaś? Kto tu jest pokorny? Wsiadam do taksówki, a on do mnie: nie trzaskaj pan moimi drzwiami, bo panu tak przypierdole, że... Idę do lekarza, bo coś mi się powyżej uda zrobiło, a on do mnie wrzeszczy: nie tu, chamie, tu! tylko dlatego, że usiadłem na jego rezerwowym krześle. A byłaś ty, dziewico głupia, na stadionie, dużo tam pokornych widziałaś? A jak się spędzona do teatru młodzież się zachowuje: ten ryczy na cały regulator, tamten się w łoży odlewa, Shakespeare, owszem – pisał dla gawiedzi, ale nie takiej.

ANIOŁ Nie chcę tego słuchać. Opuszczam cię.

ON Ty też nie jesteś lepsza. Opu-szczam cię, powiada. Zostawiam cię się mówi, pokorniutka, albo żeg(nam)...

(*telefon*)

ON Toronto? Aj sii, aj sii. /-/ Co, może pan być moim adwokatem? Mnie nie jest potrzebny adwokat, mnie potrzebne są goryle i spokój. /-/ To mówi pan, panie mecenasie, że sprawa jest poważna, oskarżenie o plagiat? Dlaczego, z jakiej racji? /-/ Nikt mi nic nie udowodni! Teraz, po sukcesie, mnie będą plagiować! Ale ja nie będę nikogo ścigał, nie

mam na to czasu. // Brakuje argumentów, powiada pan. Wie pan, co pan jest? Nie chcę tego mówić przez telefon, jeszcze ktoś usłyszy i złamie panu usraną karierę jurysty. /-/ A ja pana też...

(telefon)

ON Toronto? Aj sii, aj sii. /-/ A, to pan, panie profesorze, jak się miewa żona? /-/ Aha, powiedzieli w telewizji. Że też pan ma czas oglądać te bzdety! Co powiedzieli? Niech pan to powtórzy, ale wyraźnie, do słuchawki, nie w stronę okna, kurczę, do słuchawki się mówi! /-/ Co? A dokładnie – jak? Wydawcy – na całym świecie? – wycofali moją powieść? Co? Faksem wystawi wszędzie niezbite dowody? PEN-Klub potępił moje praktyki? A ja potępiam ich praktyki! Nie jestem własnością żadnego klubu, niech im pan to powie... Jestem pisarzem...

(odkłada słuchawkę; muzyka)

ON *(cicho)* Jestem wybitnym, miłym, pilnym i starannym, pokornym pisarzem.

(muzyka – smutna, przygnębiająca)

KONIEC